3 1761 08822348 2

H. Sienkiewicz

PISMA

Digitized by the Internet Archive
in 2011 with funding from
University of Toronto

http://www.archive.org/details/pismahenrykasien49sien

PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XLIX

Korektę prowadził Dr. Kazimierz Nitsch.

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

L Pl...
S 5724
Sienkiewicz, Henryk

Pisma
Henryka Sienkiewicza

TOM XLIX

KRZYŻACY
CZĘŚĆ I

486107
17.2.49

WARSZAWA
NAKŁAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO
(DODATEK BEZPŁATNY)
1903

Дозволено Цензурою.
Варшава, 21 Ноября 1902 г.

KRZYŻACY

CZĘŚĆ PIERWSZA

I.

W Tyńcu, w gospodzie pod «Lutym Turem», należącej do opactwa, siedziało kilku ludzi, słuchając opowiadania wojaka bywalca, który z dalekich stron przybywszy, prawił im o przygodach, jakich na wojnie i w czasie podróży doznał.

Człek był brodaty, w sile wieku, pleczysty, prawie ogromny, ale wychudły; włosy nosił ujęte w pątlik, czyli w siatkę, naszywaną paciorkami; na sobie miał skórzany kubrak z pręgami wyciśniętemi przez pancerz, na nim pas, cały z miedzianych klamr; za pasem nóż w rogowej pochwie, przy boku zaś krótki kord podróżny.

Tuż przy nim, za stołem, siedział młodzieńczyk o długich włosach i wesołem spojrzeniu, widocznie jego towarzysz, lub może giermek, bo przybrany także po podróżnemu, w taki sam powyciskany od zbroicy skórzany kubrak. Resztę towarzystwa stanowiło dwóch ziemian z okolic Krakowa i trzech mieszczan w czerwonych skła-

danych czapkach, których cienkie końce zwieszały się im z boku aż na łokcie.

Gospodarz, Niemiec, w płowym kapturze z kołnierzem wycinanym w zęby, lał im z konwi sytne piwo do glinianych stągiewek i nasłuchiwał ciekawie przygód wojennych.

Jeszcze ciekawiej jednak słuchali mieszczanie. W owych czasach nienawiść, jaka dzieliła za czasów Łokietkowych miasto od rycerskiego ziemiaństwa, znacznie już była przygasła, mieszczaństwo zaś nosiło głowy górniej, niż w wiekach późniejszych. Jeszcze ceniono ich gotowość «ad concessionem pecuniarum»; dlatego też nieraz zdarzało się widzieć w gospodach kupców, pijących za pan brat ze szlachtą. Widziano ich nawet chętnie, bo jako ludzie, u których o gotowy grosz łatwiej, płacili zwykle za herbowych.

Tak więc, siedzieli teraz i rozmawiali, mrugając od czasu do czasu na gospodarza, aby napełniał stągiewki.

— Toście, szlachetny rycerzu, zwiedzili kawał świata? — rzekł jeden z kupców.

— Niewielu z tych, którzy teraz ze wszystkich stron ściągają do Krakowa, widziało tyle — odpowiedział przybyły rycerz.

— A niemało ich ściągnie — mówił dalej mieszczanin. — Wielkie gody i wielka szczęśliwość dla królestwa! Prawią też, i to pewna, że

król kazał całą łożnicę królowej złotogłowem, szytym perłami, wysłać i takiż baldachim nad nią uczynić. Zabawy będą i gonitwy w szrankach, jakich świat dotąd nie widział.

— Kumotrze Gamroth [1]), nie przerywajcie rycerzowi — rzekł drugi kupiec.

— Nie przerywam ja, kmotrze Eyertreter [1]), tylko tak myślę, że i on rad będzie wiedział, co prawią, bo pewnie sam do Krakowa jedzie. Nie wrócim i tak dziś do miasta, gdyż bramy przedtem zamkną, a w nocy gad, który się w wiórach rodzi, spać nie daje, więc mamy czas na wszystko.

— A wy na jedno słowo odpowiadacie dwadzieścia. Starzejecie się, kmotrze Gamroth!

— Ale sztukę wilgotnego sukna pod jedną pachą jeszcze dźwignę.

— O wa! takiego, co się przez nie świeci, jak przez sito.

Lecz dalszą sprzeczkę przerwał podróżny wojak, który rzekł:

— Pewnie, że w Krakowie ostanę, bom słyszał o gonitwach i rad w szrankach siły mojej popróbuję — a i ten mój bratanek także, który choć młody i gołowąs, nie jeden już pancerz widział na ziemi.

---

[1]) Nazwiska, a raczej przezwiska współczesne.

Goście spojrzeli na młodzieńca, który uśmiechnął się wesoło, i założywszy rękoma długie włosy za uszy, podniósł następnie do ust naczynie z piwem.

Stary zaś rycerz dodał:

— Wreszcie, choćbyśmy chcieli wracać, to nie mamy dokąd.

— Jakże to? — zapytał jeden ze szlachty. — Skąd jesteście i jako was zowią?

— Ja zowię się Maćko z Bogdańca, a ten tu wyrostek, syn mego rodzonego, wola się Zbyszko. Herbu jesteśmy Tępa Podkowa, a zawolania Grady.

— Gdzie-że jest wasz Bogdaniec?

— Ba! lepiej pytajcie, panie bracie, gdzie był, bo go już niema. Hej! jeszcze za czasów wojny Grzymalitczyków z Nałęczami spalili nam do cna nasz Bogdaniec, tak, że jeno stary dom ostał, a co było, pobrali, służebni zasie uciekli. Została goła ziemia, bo i kmiecie, co byli w sąsiedztwie, poszli dalej w puszczę. Odbudowaliśmy z bratem, ojcem tego oto wyrostka, ale następnego roku woda nam pobrała. Potem brat umarł, a jak umarł, ostałem sam z sierotą. Myślałem tedy: nie usiedzę! A prawili pod on czas o wojnie i o tem, że Jaśko z Oleśnicy, którego król Władysław po Mikołaju z Moskorzowa do Wilna wysłał, szuka skrzętnie w Polsce ryce-

rzy. Znając ja więc godnego opata i krewniaka naszego Janka z Tulczy, zastawiłem mu ziemię, a za pieniądze kupiłem zbroiczkę, konie — opatrzyłem się jako zwykle na wojenną wyprawę; chłopca, co mu było dwanaście lat, wsadziłem na podjezdka i haj! do Jaśka z Oleśnicy.

— Z wyrostkiem?

— Nie był ci on wówczas nawet wyrostkiem, ale krzepkie to było od małego. Bywało w dwunastym roku oprze kuszę o ziemię, przyciśnie brzuchem i tak korbą zakręci, że i żaden z Angielczyków, którycheśmy pod Wilnem widzieli, lepiej nie naciągnie.

— Takiż był mocny?

— Hełm za mną nosił, a jak mu przeszło trzynaście zim, to i pawęż.

— Już to wojny wam tam nie brakło.

— Za przyczyną Witoldową. Siedziało książę u Krzyżaków i co roku wyprawy na Litwę pod Wilno czynili. Szedł z nimi różny naród: Niemcy, Francuzy, Angielczykowie do łuków najprzedniejsi, Czechy, Szwajcary i Burgundy. Lasy przesiekli, zamki po drodze stawiali i w końcu okrutnie Litwę ogniem i mieczem pognębili, tak, że cały naród, który tę ziemię zamieszkuje, chciał już ją porzucić i szukać innej, choćby na kraju świata, choćby między dziećmi Beliala, byle od Niemców daleko.

— Słychać było i tu, że wszyscy Litwini chcieli pójść z dziećmi i żonami precz, aleśmy temu nie wierzyli.

— A ja na to patrzył. Hej! Gdyby nie Mikołaj z Moskorzowa, nie Jaśko z Oleśnicy, a nie chwalący się, gdyby i nie my, nie byłoby już Wilna.

— Wiemy. Zamkuście nie dali.

— A nie daliśmy. Pilno tedy zważcie, co wam powiem, bom człek służały i wojny świadom. Starzy jeszcze mawiali: «zajadła Litwa» — i prawda! Dobrze się oni potykają, ale z rycerstwem nie im się w polu mierzyć. Gdy konie Niemcom w bagnach polgną, albo gdy gęsty las — to co innego.

— Niemcy dobrzy rycerze! — zawołali mieszczanie.

— Murem oni chłop przy chłopie w żelaznych zbrojach stają, tak okryci, że ledwie psubratu oczy przez kratę widać. I ławą idą. Uderzy bywało Litwa i rozsypie się, jako piasek, a nie rozsypie się, to ją mostem położą i roztratują. Nie sami też między nimi Niemcy, bo co jest narodów na świecie, to u Krzyżaków służy. A chrobre są! Nieraz pochyli się rycerz, kopię przed się wyciągnie i sam jeden, jeszcze przed bitwą, w całe wojsko bije, jako jastrząb w stado.

— Christ! — zawolał Gamroth — którzy też z nich najlepsi?

— Jak do czego. Do kuszy najlepszy Angielczyk, któren pancerz na wylot strzałą przedzieje, gołębia na sto kroków utrafi. Czechowie okrutnie toporami sieką. Do dwuręcznego brzeszczota niemasz nad Niemca. Szwajcar rad żelaznym cepem hełmy tłucze, ale najwięksi rycerze są ci, którzy z francuskiej ziemi pochodzą. Taki będzie ci się bił z konia i piechotą, a przytem będzie ci okrutnie waleczne słowa gadał, których wszelako nie wyrozumiesz, bo to jest mowa taka, jakobyś cynowe misy potrząsał, chociaż naród jest pobożny. Przymawiali nam przez Niemców, że pogan i Saracenów przeciw krzyżowi bronimy i obowiązywali się dowieść tego rycerskim pojedynkiem. Ma się też takowy sąd boży odbyć między czterema ich i czterema naszymi rycerzami, a zrok naznaczon jest na dworze, u Wacława, króla rzymskiego i czeskiego [1]).

Tu większa jeszcze ciekawość ogarnęła ziemian i kupców, tak, że aż powyciągali szyje ponad kuflami w stronę Maćka z Bogdańca i nuż pytać:

— A z naszych którzy są? Mówcie żywo!

---

[1]) Historyczne.

Maćko zaś podniósł naczynie do ust, napił się i odrzekł:

— Ej, nie bójcie się o nich. Jest Jan z Włoszczowy, kasztelan Dobrzyński, jest Mikołaj z Waszmuntowa, jest Jaśko ze Zdakowa i Jarosz z Czechowa: wszystko rycerze na schwał i chłopy morowe. Pójdą-li na kopie, na miecze, albo na topory — nie nowina im. Będą miały oczy ludzkie na co patrzeć i uszy czego słuchać — bo, jako rzekłem, Francuzowi gardziel nogą przyciśniesz, a on ci jeszcze rycerskie słowa prawi. Tak mi też dopomóż Bóg i Święty Krzyż, jako tamci przegadają, a nasi pobiją.

— Będzie sława, byle Bóg pobłogosławił — rzekł jeden ze szlachty.

— I św. Stanisław! — dodał drugi.

Poczem zwróciwszy się do Maćka, jął rozpytywać dalej:

— Nuże! powiadajcie! Sławiliście Niemców i innych rycerzy, że chrobre są i że łatwo Litwę łamali. A z wami, nie ciężej-że im było? Zali równie ochotnie na was szli? Jakże Bóg darzył? Sławcie naszych!

Lecz Maćko z Bogdańca nie był widocznie samochwał, bo odrzekł skromnie:

— Którzy świeżo z dalekich krajów przyszli, ochotnie na nas uderzali, ale popróbowawszy raz i drugi, już nie z takiem sercem. — Bo jest nasz

naród zatwardziały, którą to zatwardziałość często nam wymawiali: «Gardzicie śmiercią (prawią), ale Saracenów wspomagacie, przez co potępieni będziecie!» A w nas zawziętość jeszcze rosła, gdyż nieprawda jest! Oboje królestwo Litwę ochrzcili i każden tam Chrystusa Pana wyznawa, chociaż nie każden umie. Wiadomo też, że i nasz pan Miłościwy, gdy dyabła w katedrze w Płocku na ziem zrzucono, kazał mu ogarek postawić — i dopiero księża musieli mu gadać, że tego się czynić nie godzi. A cóż pospolity człowiek! Niejeden też sobie mówi: «Kazał się kniaź ochrzcić, tom się ochrzcił, kazał Chrystu czołem bić, to biję, ale po co mam starym pogańskim dyabłom okruszyny twaroga żałować, albo im pieczonej rzepy nie rzucić, albo piany z piwa nie ulać? Nie uczynię tego, to mi konie padną, albo krowy sparszeją, albo mleko od nich krwią zajdzie — albo w żniwach będzie przeszkoda». I wielu też tak czyni, przez co się w podejrzenie podają. Ale oni to robią z niewiadomości i z bojaźni dyabłów. Było onym dyabłom drzewiej dobrze. Mieli swoje gaje, wielkie numy i konie do jazdy i dziesięcinę brali. A ninie, gaje wycięte, jeść niema co — dzwony po miastach biją, więc się to paskudztwo w najgęstsze bory pozaszywało i tam z tęskności wyje. Pójdzie Litwin do lasu, to go w chojniakach jeden i drugi

za kożuch pociągnie — i mówi: «Daj!» Niektórzy też dają, ale są i śmiałe chłopy, co nie chcą nic dać, albo ich jeszcze łapią. Nasypał jeden prażonego grochu do wołowej mechery, to mu trzynastu dyabłów zaraz wlazło. A on zatknął ich jarzębowym kołkiem i księżom Franciszkanom na przedaż do Wilna przyniósł, którzy dali mu z chęcią dwadzieścia skojców, aby nieprzyjaciół imienia Chrystusowego zgładzić. Sam tę mecherę widziałem, od której sprosny smród zdaleka w nozdrzech człowiekowi wiercił — bo tak to one bezecne duchy strach swój przed święconą wodą okazywały...

— A kto rachował, że ich było trzynastu? — spytał roztropnie kupiec Gamroth.

— Litwin rachował, który widział, jak leźli. Widać było, że są, bo to z samego smrodu można były wymiarkować, a kołka wolał nikt nie odtykać.

— Dziwy też to, dziwy! — zawołał jeden ze szlachty.

— Napatrzyłem ja się wielkich dziwów niemało, gdyż — nie można rzec: naród to jest dobry, ale wszystko u nich osobliwe. Kudłaci są i ledwie który kniaź włosy trefi; pieczoną rzepą żyją, nad wszelkie jadło ją przekładając, bo mówią, że męstwo od niej rośnie. W numach swych razem z dobytkiem i wężami żyją; w piciu

i jedzeniu nie znają pomiarkowania. Za nic zamężne niewiasty mają, ale panny bardzo szanują i moc wielką im przyznają; że byle dziewka natarła człeku suszonym jaterem żywot, to kolki od tego przechodzą.

— Nie żal i kolek dostać, jeśli niewiasty cudne! — zawołał kum Eyertreter.

— O to zapytajcie Zbyszka — odrzekł Maćko z Bogdańca.

Zbyszko zaś roześmiał się, aż ława pod nim poczęła drgać.

— Bywają cudne! — rzekł — alboż Ryngałła nie była cudna?

— Cożeto za Ryngałła? pokutnica jakowaś, czy co? Żywo!

— Jakże to? Nie słyszeliście o Ryngalle? — pytał Maćko.

— Nie słyszeliśmy ni słowa.

— To przecie siostra księcia Witoldowa, a żona Henryka, księcia Mazowieckiego.

— Nie powiadajcie! Jakiego księcia Henryka? Było jedno książę mazowieckie tego imienia elektem płockim, ale zmarło.

— Ten ci sam był. Miały mu przyjść z Rzymu dyspensy; ale śmierć dała mu pierwej dyspensę, gdyż widocznie niezbyt postępkiem swoim Boga ucieszył. Byłem wtedy posłany z pismem od Jaśka z Oleśnicy do księcia Witolda, kiedy

od króla przyjechał do Ryterswerder książę Henryk, elekt płocki. Już się była Witoldowi wojna wtedy uprzykrzyła, dlatego właśnie, że Wilna nie mógł dobyć, a królowi naszemu uprzykrzyli się rodzeni bracia i ich rozpusta. Widząc tedy król większą u Witolda, niż u swych rodzonych, obrotność i większy rozum, posłał do niego biskupa z namową, by Krzyżaków porzucił i do posłuszeństwa się nakłonił, za co mu rządy Litwy miały być oddane. A Witold, chciwy zawsze odmiany, mile poselstwa wysłuchał. Były też i uczty i gonitwy. Rad elekt konia dosiadał, choć inni biskupi tego nie chwalą, i w szrankach siłę swą rycerską okazywał. A mocarni są z rodu wszyscy książęta mazowieccy — jako jest wiadomo, że nawet i dzieweczki z tej krwie łacnie podkowy łamią. Raz przeto zbił książę z siodeł trzech rycerzy, drugi raz pięciu — a z naszych mnie zwalił, i pod Zbyszkiem koń przy natarciu na zadzie siadł. Nagrody zaś brał wszystkie z rąk cudnej Ryngally, przed którą w pełnej zbroi klękał. I rozmiłowali się tak w sobie, że na ucztach ciągnęli go od niej za rękawy *clerici*, którzy z nim przyjechali, a ją brat Witold hamował. Dopieroż książę mówił: «Sam sobie dyspensę dam, a Papież mi ją, jeśli nie rzymski, to awinioński, potwierdzi, a ślub zaraz ma być, bo zgorzeję!» Wielka była obraza

boska, ale nie chciał się Witold przeciwiać, by posła królewskiego nie zlisić — i ślub był. Potem dojechali do Suraża, a potem do Słucka, z wielkim żalem tego oto Zbyszka, który sobie, niemieckim obyczajem, księżnę Ryngallę za panią serca obrał i dozgonną wierność jej ślubował...

— Ba! — przerwał nagle Zbyszko — prawda jest! Ale potem ludzie mówili, że księżna Ryngalla, pomiarkowawszy, że nie przystoi jej być za elektem (bo ów, choć się ożenił, godności swej duchownej się wyrzec nie chciał) i że nie może być nad takiem stadłem błogosławieństwa boskiego, otruła męża. Co ja usłyszawszy, prosiłem jednego świątobliwego pustelnika pod Lublinem, by mnie od tego ślubowania rozwiązał.

— Był ci on pustelnikiem — odparł, śmiejąc się, Maćko — ale czy był świątobliwy, nie wiem, bośmy go w piątek w boru zajechali, a on kości niedźwiedzie toporem łupał i śpik wysysał, aż mu gardziel grała.

— Ale mówił, że śpik to nie mięso, a oprócz tego, że uprosił sobie na to pozwoleństwo, gdyż po śpiku widzenia cudowne we śnie miewa i nazajutrz prorokować może do południa.

— No! no! — odrzekł Maćko. — A cudna Ryngałła wdowa jest i może cię na służbę wezwać.

— Po próżnicyby wzywała, bo ja sobie inną panią obiorę, której do śmierci będę służył, a potem i żonę znajdę.

— Pierwej znajdź rycerski pas.

— O wa! albo to nie będzie gonitew po połogu królowej? A przedtem, albo potem, król będzie nie jednego pasował. Stanę ja każdemu. Książę nie byłby mnie także obalił, żeby mi koń na zadzie nie siadł.

— Będą tu lepsi od ciebie.

Na to ziemianie z pod Krakowa poczęli wołać:

— Na miły Bóg! toż tu przed królową wystąpią nie tacy, jak ty, ale rycerze w świecie najsławniejsi. Będzie gonił Zawisza z Garbowa, i Farurey, i Dobko z Oleśnicy, i taki Powała z Taczewa, i taki Paszko Złodziej z Biskupic, i taki Jaśko Naszan, i Abdank z Góry, i Andrzej z Brochocic, i Krystyn z Ostrowa, i Jakób z Kobylan!... Gdzie ci się z nimi mierzyć, z którymi ni tu, ni na dworze czeskim, ni na węgierskim nikt mierzyć się nie może. Cóż to, prawisz, lepszyś od nich? Ile ci roków?

— Ośmnasty — odpowiedział Zbyszko.

— Tedy cię każdy między knykciami zgniecie.

— Obaczym.

Lecz Maćko rzekł:

— Słyszałem, że król hojnie nagradza ryce-

rzy, którzy z wojny litewskiej wracają. Mówcie, którzy stąd jesteście: prawda-li to?

— Dalibóg, prawda! — odrzekł jeden ze szlachty. — Wiadoma po świecie hojność królewska, jeno się teraz docisnąć do niego nie będzie łatwo, gdyż w Krakowie aż roi się od gości, którzy się na połóg królowej i na chrzciny zjeżdżają, chcąc przez to panu naszemu cześć, albo hołd oddać. Ma być król węgierski, będzie, jako powiadają, i cesarz rzymski, i różnych książąt, a komesów i rycerzy jako maku, że to każdy się spodziewa, iż z próżnemi rękoma nie odejdzie. Prawili nawet, iże sam papież Bonifacy zjedzie, któren także łaski i pomocy naszego pana przeciw swemu nieprzyjacielowi z Awinionu potrzebuje. Owóż w takim natłoku nie łatwo będzie o dostęp, ale byle dostęp znaleźć, a pana pod nogi podjąć — to już zasłużonego hojnie opatrzy.

— To go i podejmę, bom się wysłużył, a jeżeli wojna będzie, to jeszcze pójdę. Wzięło się tam coś łupem, a coś od księcia Witolda w nagrodę i biedy niema, tylko, że już mi wieczorne lata nadchodzą, a na starość, gdy siła z kości wyjdzie, radby człek miał kąt spokojny.

— Mile król widział tych, którzy z Litwy pod Jąśkiem z Oleśnicy wrócili — i wszyscy oni tłusto teraz jadają.

— Widzicie! A jam wtedy jeszcze nie wrócił — i dalej wojowałem. Bo trzeba wam wiedzieć, że się ta zgoda między królem a kniaziem Witoldem na Niemcach skrupiła. Kniaź chytrze zakładników pościągał, a potem, haj-że na Niemców! Zamki poburzył, popalił, rycerzy pobił, siła ludu wyścinał. Chcieli się Niemcy mścić, razem ze Świdrygiellą, który do nich uciekł. Była znów wielka wyprawa. Sam mistrz Kondrat na nią poszedł z mnogim ludem. Wilno oblegli, próbowali z wież okrutnych zamki burzyć, próbowali zdradą ich dostać — nic nie wskórali! A za powrotem tyle ich legło, że i połowa nie wyszła. Wychodziliśmy jeszcze w pole przeciw Ulrykowi z Jungingen, bratu mistrzowemu, który jest wójtem Sambijskim. Ale się wójt kniazia przeląkł i z płaczem uciekł, od której to ucieczki jest spokój — i miasto na nowo się buduje. Jeden też święty zakonnik, który po rozpalonem żelezie boso mógł chodzić, prorokował, że od tej pory, póki świat światem, Wilno zbrojnego Niemca pod murami nie obaczy. Ale jeśli tak będzie, to czyjeż to ręce uczyniły?

To rzekłszy, Maćko z Bogdańca wyciągnął przed się dłonie — szerokie i nadmiar potężne — inni zaś poczęli kiwać głowami i przyświadczać:

— Tak! tak! praw w tem, co powiada! Tak!

Lecz dalszą rozmowę przerwał gwar, dochodzący przez okna, z których błony były powyjmowane, albowiem noc zapadła ciepła i pogodna. Zdala słychać było brzękania, ludzkie głosy, parskanie konie i śpiewy. Zdziwili się obecni, albowiem godzina była późna i księżyc wysoko już wybił się na niebo. Gospodarz Niemiec wybiegł na podwórzec gospody, lecz nim goście zdołali wychylić do dna ostatnie kufle, wrócił jeszcze pośpieszniej, wołając:

— Dwór jakowyś wali!

W chwilę zaś później we drzwiach zjawił się pachołek w błękitnym kubraku i składanej czerwonej czapce na głowie. Stanął, spojrzał po obecnych i ujrzawszy gospodarza, rzekł:

— Wytrzeć tam stoły i światła naniecić: księżna Anna Danuta na odpoczynek się tu zatrzyma.

To rzekłszy, zawrócił. W gospodzie uczynił się ruch: gospodarz począł wołać na czeladź, a goście spoglądali ze zdumieniem jeden na drugiego.

— Księżna Anna Danuta — mówił jeden z mieszczan — toć to Kiejstutówna, żona Janusza Mazowieckiego. Ona już od dwóch niedziel w Krakowie, jeno że wyjeżdżała do Zatora, do księcia Wacława w odwiedziny, a ninie pewno wraca.

— Kmotrze Gamroth — rzekł drugi mieszczanin — pójdźmy na siano do stodółki: za wysoka to dla nas kompania.

— Że nocą jadą, to mi nie dziwno — ozwał się Maćko — bo w dzień upał, ale czemu, mając pod bokiem klasztor, do gospody zajeżdżają?

Tu zwrócił się do Zbyszka:

— Rodzona siostra cudnej Ryngally: rozumiesz?

A Zbyszko odrzekł:

— I mazowieckich panien siła musi z nią być: hej!

II.

A wtem przez drzwi weszła księżna — pani średnich lat, ze śmiejącą się twarzą, przybrana w czerwony płaszcz i szatę zieloną, obcisłą, z pozłoconym pasem na biodrach, idącym wzdłuż pachwin i zapiętym nizko wielką klamrą. Za panią szły panny dworskie, niektóre starsze, niektóre jeszcze niedorosłe, w różowych i liliowych wianuszkach na głowach, po większej części z lutniami w ręku. Były i takie, które niosły całe pęki kwiatów świeżych, widocznie uzbieranych po drodze. Zaroiła się izba, bo za pannami ukazało się kilku dworzan i małych pacholików. Weszli wszyscy razem, z wesołością w twarzach, rozmawiając głośno lub podśpiewując, jakoby upojeni pogodną nocą i jasnym blaskiem księżyca. Między dworzanami było dwóch rybałtów, jeden z lutnią, drugi z gęślikami u pasa. Jedna z dziewcząt, młódka jeszcze, może dwunastolatka, niosła też za księżną małą luteńkę, nabijaną miedzianymi ćwiekami.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — ozwała się księżna, stając w pośrodku świetlicy.

— Na wieki wieków, Amen! — odpowiedzieli obecni, bijąc zarazem nizkie pokłony.

— A gdzie gospodarz?

Niemiec, usłyszawszy wezwanie, wysunął się naprzód i przyklęknął obyczajem niemieckim.

— Zatrzymamy się tu dla wypoczynku i posiłku — rzekła pani. — Żywo się jeno zakrzątnij, bośmy głodni.

Mieszczanie już byli odeszli, teraz zaś dwaj miejscowi szlachcice, a wraz z nimi Maćko z Bogdańca i młody Zbyszko, skłonili się powtórnie i zamierzali opuścić świetlicę, nie chcąc dworowi przeszkadzać.

Lecz księżna zatrzymała ich.

— Szlachtą jesteście: nie przeszkodzicie! Zróbcie znajomość z dworzany. Skądże Bóg prowadzi?

Oni wówczas zaczęli wymieniać swoje imiona, herby, zawołania i wsie, z których się pisali. Dopieroż pani, usłyszawszy od Maćka, skąd wraca, klasnęła w dłonie i rzekła:

— Otóż się przygodziło! Prawcie nam o Wilnie, o moim bracie i o siostrze. Zali zjedzie tu się książę Witold na połóg królowej i na krzciny?

— Chciałby, ale nie wie, czy będzie mógł; dlatego kolebę srebną przez księży i bojarzynów naprzód w darze królowej przysłał. Przy której kolebce i myśmy z bratańcem przyjechali, strzegąc jej w drodze.

— To kolebka tu jest? chciałabym obaczyć. Cała srebrna?

— Cała srebrna, ale jej tu niema. Powieźli ją do Krakowa.

— A cóż wy w Tyńcu robicie?

— My tu nawrócili do klasztornego prokuratora, naszego krewnego, by pod opiekę zacnych zakonników oddać, co nam wojna przysporzyła i co książę podarował.

— To Bóg poszczęścił. Godneż łupy? Ale powiadajcie, czemu to brat niepewien czy przyjedzie?

— Bo wyprawę na Tatarów gotuje.

— Wiem ci ja to; jeno mnie trapi, że królowa nie prorokowała szczęśliwego końca tej wyprawie, a co ona prorokuje, to się zawsze ziści.

Maćko uśmiechnął się.

— Ej, świątobliwa nasza pani, nijak przeczyć, ale z księciem Witoldem siła naszego rycerstwa pójdzie, chłopów dobrych, przeciw którym nikomu nie sporo.

— A wy to nie pójdziecie?

— Bom z kolebką przy innych wysłan i przez pięć roków nie zdejmowałem z siebie blach — odrzekł Maćko, pokazując na bruzdy, powyciskane na łosiowym kubraku od pancerza — ale niech jeno wypocznę, pójdę, a choćbym sam nie szedł, to tego oto bratanka Zbyszka panu Spytkowi z Melsztyna oddam, pod którego wodzą wszyscy nasi rycerze pójdą.

Księżna Danuta spojrzała na dorodną postać Zbyszka, lecz dalszą rozmowę przerwało przybycie zakonnika z klasztoru, który powitawszy księżnę, począł jej pokornie wymawiać, że nie przysłała gońca z oznajmieniem o swojem przybyciu i że nie zatrzymała się w klasztorze, ale w zwyczajnej gospodzie, niegodnej jej majestatu. Nie brak przecie w klasztorze domów i gmachów, w których nawet pospolity człowiek znajdzie gościnę, a cóż dopiero majestat, zwłaszcza zaś małżonki księcia, od którego przodków i pokrewnych tylu dobrodziejstw opactwo doświadczyło.

Lecz księżna odpowiedziała wesoło:

— My jeno tu nogi wstąpili rozprostować, a na ranek trzeba nam do Krakowa. Wyspaliśmy się w dzień i jedziemy nocą dla chłodu, a że to już kury piały, nie chciałam pobożnych zakonników budzić, zwłaszcza z taką kompanią,

która więcej o śpiewaniu i pląsach, niżeli o odpocznieniu myśli.

Gdy jednak zakonnik nalegał ciągle, dodała:

— Nie. Tu już ostaniem. Dobrze czas na słuchaniu świeckich pieśni zejdzie, ale na jutrznię do kościoła przyjdziemy, aby dzień z Bogiem zacząć.

— Będzie msza za pomyślność miłościwego księcia i miłościwej księżnej — rzekł zakonnik.

— Książę mój małżonek dopiero za cztery albo pięć dni zjedzie.

— Pan Bóg potrafi i zdaleka szczęście zdarzyć, a tymczasem niech nam, ubogim, wolno będzie choć wina z klasztoru przynieść.

— Radzi odwdzięczym — rzekła księżna.

Gdy zaś zakonnik wyszedł, poczęła wołać:

— Hej, Danusia! Danusia! wyleź-no na ławkę i uwesel nam serce tą samą pieśnią, którą w Zatorze śpiewałaś.

Usłyszawszy to, dworzanie prędko postawili na środku izby ławkę. Rybałci siedli po jej brzegach, między nimi zaś stanęła owa młódka, która niosła za księżną nabijaną miedzianymi ćwieczkami lutnię. Na głowie miała wianeczek, włosy puszczone po ramionach, suknię niebieską i czerwone trzewiczki z długimi końcami. Stojąc na ławce, wydawała się małem dzieckiem, ale zarazem przecudnem, jakby jakowaś figurka z ko-

ściola, albo jasieleczek. Widocznie też nie pierwszy raz przychodziło jej tak stać i śpiewać księżnie, bo nie znać było po niej najmniejszego pomieszania.

— Dalej, Danusia! dalej! — wołały panny dworskie.

Ona zaś wzięła przed się lutnię, podniosła do góry głowę, jak ptak, który chce śpiewać i przymknąwszy oczęta, poczęła srebrnym głosikiem:

»Gdybym ci ja miała
»Skrzydleczka jak gąska,
»Poleciałaby ja
»Za Jaśkiem do Śląska!

Rybałci zawtórowali jej zaraz, jeden na gęślikach, drugi na dużej lutni; księżna, która miłowała nad wszystko świeckie pieśni, poczęła kiwać głową na obie strony, a dzieweczka śpiewała dalej, głosem cieniuchnym, dziecinnym i świeżym, jak śpiewanie ptaków w lesie na wiosnę:

»Usiadłaby ci ja
»Na śląskowskim płocie:
»Przypatrz się Jasiulku,
»Ubogiej sierocie«.

I znów wtórowali rybałci. Młody Zbyszko z Bogdańca, który przywykłszy od dzieciństwa

do wojny i srogich jej widoków, nigdy nic podobnego w życiu nie widział, trącił w ramię stojącego obok Mazura i zapytał:

— Co to za jedna?

— To jest dzieweczka z dworu księżnej. Nie brak ci u nas rybałtów, którzy dwór rozweselają, ale z niej najmilszy rybałcik i księżna niczyich pieśni tak chciwie nie słucha.

— Nie dziwno mi to. Myślałem, że zgoła anioł i odpatrzyć się nie mogę. Jakże ją wołają?

— A to nie słyszeliście? — Danusia. A jej ojciec jest Jurand ze Spychowa, komes możny i mężny, który do przedchorągiewnych należy.

— Hej! nie widziały takiej ludzkie oczy.

— Miłują ją też wszyscy, i za śpiewanie i za urodę.

— A któren jej rycerz?

— Dyć to jeszcze dziecko.

Dalszą rozmowę znów przerwał śpiew Danusi. Zbyszko patrzał z boku na jej jasne włosy, na podniesioną głowę, na zmrużone oczki i na całą postać, oświeconą zarazem blaskiem świec woskowych i blaskiem wpadających przez otwarte okna promieni miesiąca — i zdumiewał się coraz bardziej. Zdawało mu się, że już ją niegdyś widział, ale nie pamiętał, czy we śnie, czy gdzieś w Krakowie na szybie kościelnej.

I znów trąciwszy dworzanina, pytał przyciszonym głosem:

— To ona z waszego dworu?

— Matka jej przyjechała z Litwy z księżną Anną Danutą, która wydała ją za grabię Juranda ze Spychowa. Gładka była i możnego rodu, nad wszystkie inne panny księżnie miła i sama księżnę miłująca. Dlatego też córce dała to samo imię — Anna Danuta. Ale pięć lat temu, gdy przy Złotoryi Niemcy napadli na nasz dwór, ze strachu zmarła. Wtedy księżna wzięła dzieweczkę — i od tej pory ją hoduje. Ojciec też często na dwór przyjeżdża i rad widzi, że mu się dziecko zdrowo, w miłości książęcej chowa. Jeno, ilekroć na nią spojrzy, tylekroć łzami się zalewa, nieboszczkę swoją wspominając, a potem wraca na Niemcach pomsty szukać za swoją krzywdę okrutną. Miłował ci on tak tę swoją żonę, jako nikt do tej pory swojej na całem Mazowszu nie miłował — i siła już Niemców za nią pomorzył.

A Zbyszkowi zaświeciły oczy w jednej chwili i żyły nabrały mu na czole.

— To jej matkę Niemcy zabili? — spytał.

— Zabili i nie zabili. Sama umarła ze strachu. Pięć roków temu pokój był, nikt o wojnie nie myślał i każdy bezpiecznie chadzał. Pojechał książę wieżę jedną w Złotoryi budować, bez

wojska, jeno z dworem, jako zwyczajnie czasu pokoju. Tymczasem wpadli zdrajcy Niemcy, bez wypowiedzenia wojny, bez żadnej przyczyny... Samego księcia, nie pomnąc ni na bojaźń boską, ni na to, że od jego przodków wszystkie dobrodziejstwa na nich spadły, przywiązali do konia i porwali, ludzi pobili. Długo książę w niewoli u nich siedział i dopiero, gdy król Władysław wojną im pogroził, ze strachu go puścili; ale przy owym napadzie umarła matka Danusi, bo ją serce udusiło, które jej pod gardło podeszło.

— A wy, panie, byliście przy tem? Jako-że was zowią, bom zapomniał?

— Ja się zowię Mikołaj z Długolasu, a przezywają mnie Obuch. Przy napadzie byłem. Widziałem, jako matkę Danusiną jeden Niemiec z pawiemi piórami na hełmie chciał do siodła troczyć — i jako w oczach mu na sznurze zbielała. Samego też mnie halebardą zacięli, od czego znak noszę.

To rzekłszy, ukazał głęboką bliznę w czaszce, ciągnącą się z pod włosów na głowie aż do brwi.

Nastała chwila milczenia. Zbyszko począł znów patrzeć na Danusię. Poczem spytał:

— I rzekliście, panie, że ona nie ma rycerza?

Lecz nie doczekał odpowiedzi, gdyż w tej chwili śpiew ustał. Jeden z rybałtów, człowiek

tłusty i ciężki, podniósł się nagle, przez co ława przechyliła się w jedną stronę. Danusia zachwiała się i rozłożyła rączki, lecz nim zdołała upaść lub zeskoczyć, rzucił się Zbyszko, jak żbik, i porwał ją na ręce.

Księżna, która w pierwszej chwili krzyknęła ze strachu, roześmiała się zaraz wesoło i poczęła wołać:

— Oto rycerz Danusin! Bywaj-że rycerzyku i oddaj nam naszą miłą śpiewaczkę!

— Chwacko ci ją ułapił; — ozwały się głosy wśród dworzan.

Zbyszko zaś szedł ku księżnie, trzymając przy piersiach Danusię, która objąwszy go jedną ręką za szyję, drugą podnosiła w górę luteńkę z obawy, by się nie zgniotła. Twarz miała śmiejącą się i uradowaną, choć trochę przestraszoną.

Tymczasem młodzieńczyk, doszedłszy do księżnej, postawił przed nią Danusię, sam zaś klęknął i podniósłszy głowę, rzekł z dziwną w jego wieku śmiałością:

— Niech-że będzie wedle waszych słów, miłościwa pani! Pora tej wdzięcznej panience mieć swego rycerza, a pora i mnie mieć swoją panią, której urodę i cnoty będę wyznawał, zaczem z waszem pozwoleństwem tej oto właśnie chcę ślubować i do śmierci wiernym jej w każdej przygodzie ostać.

Na twarzy księżnej przemknęło zdziwienie, ale nie z powodu słów Zbyszkowych, tylko dlatego, że wszystko stało się tak nagle. Obyczaj rycerskiego ślubowania nie był wprawdzie polski, jednakże Mazowsze, leżąc na rubieży niemieckiej i widując często rycerzy z dalekich nawet krajów, znało go lepiej nawet, niż inne dzielnice, i naśladowało dość często. Księżna słyszała też o nim dawniej jeszcze na dworze swego wielkiego ojca, gdzie wszystkie obyczaje zachodnie były uważane za prawo i wzór dla szlachetniejszych wojowników, z tych przeto powodów nie znalazła w chęci Zbyszka nic takiego, coby obrazić mogło ją, lub Danusię. Owszem, uradowała się, że miła sercu dworka poczyna zwracać ku sobie rycerskie serca i oczy.

Więc z rozbawioną twarzą zwróciła się do dziewczyny:

— Danuśka, Danuśka! chcesz-li mieć swego rycerza?

A przetowłosa Danusia podskoczyła naprzód trzy razy do góry w swoich czerwonych trzewiczkach, a następnie chwyciwszy księżnę za szyję, poczęła wołać z taką radością, jakby jej obiecywano jakąś zabawę, w którą się tylko starszym bawić wolno:

— Chcę, chcę! chcę!...

Księżnie ze śmiechu aż łzy napłynęły do

oczu, a z nią śmiał się cały dwór; wreszcie jednak pani, uwolniwszy się z rąk Danusinych, rzekła do Zbyszka:

— Aj! ślubuj! ślubuj! cóż zasię jej poprzysiężesz?

Lecz Zbyszko, który wśród śmiechu zachował niezachwianą powagę, ozwał się równie poważnie, nie wstając z klęczek:

— Ślubuję jej, iże stanąwszy w Krakowie, powieszę pawęż na gospodzie, a na niej kartę, którą mi uczony w piśmie kleryk foremnie napisze: jako panna Danuta Jurandówna najurodziwsza jest i najcnotliwsza między pannami, które we wszystkich królestwach bydlą. A ktoby temu się przeciwił, z tym będę się potykał póty, póki sam nie zginę, albo on nie zginie — chybaby w niewolę radziej poszedł.

— Dobrze! Widać rycerski obyczaj znasz. A co więcej?

— A potem, uznawszy od pana Mikołaja z Długolasu, jako mać panny Jurandówny za przyczyną Niemca z pawim grzebieniem na hełmie ostatni dech puściła, ślubuję kilka takich pawich czubów ze łbów niemieckich zedrzeć i pod nogi mojej pani położyć.

Na to spoważniała księżna i spytała:

— Nie dla śmiechu-li ślubujesz?

A Zbyszko odrzekł:

— Tak mi dopomóż Bóg i Święty Krzyż; któren ślub w kościele przed księdzem powtórzę.

— Chwalebna jest z lutym nieprzyjacielem naszego plemienia walczyć, ale mi cię żal, boś młody i łatwo zginąć możesz.

Wtem przysunął się Maćko z Bogdańca, który dotychczas, jako człowiek dawniejszych czasów, ramionami tylko wzruszał, teraz jednak uznał za stosowne przemówić:

— Co do tego — nie frasujcie się, miłościwa pani. Śmierć w bitwie każdemu się może przygodzić, a szlachcicowi, stary-li, czy młody, to nawet chwalebna jest. Ale nie cudna temu chłopu wojna, bo chociaże mu roków nie dostaje, nieraz już trafiało mu się potykać z konia i piechtą, kopią i toporem, długim albo krótkim mieczem, z pawężą albo bez. Nowotny to jest obyczaj, że rycerz dziewce, którą rad widzi, ślubuje, ale że Zbyszko swojej pawie czuby obiecał, tego mu nie przyganię. Wiskał już Niemców, niech jeszcze powiska, a że od tego wiskania parę łbów pęknie, to mu jeno sława z tego urośnie.

— To widzę, nie z byle otrokiem sprawa — rzekła księżna.

A potem do Danusi:

— Siadaj-że na mojem miejscu, jako pierwsza dzisiaj osoba; jeno się nie śmiej, bo nie idzie.

Danusia siadła na miejscu pani; chciała przy-

tem udać powagę, ale modre jej oczka śmiały się do klęczącego Zbyszka i nie mogła się powstrzymać od przebierania z radości nóżkami.

— Daj mu rękawiczki — rzekła księżna.

Danusia wyciągnęła rękawiczki i podała Zbyszkowi, który przyjął je ze czcią wielką, i przycisnąwszy do ust, rzekł:

— Przypnę je do hełmu, a kto po nie sięgnie — gorze mu!

Poczem ucałował ręce Danusi, a po rękach nogi, i wstał. Ale wówczas opuściła go dotychczasowa powaga, a napełniła mu serce wielka radość, że odtąd za dojrzałego męża wobec całego tego dworu będzie uchodził, więc potrząsając Danusine rękawiczki, począł wołać nawpół wesolo, nawpół zapalczywie:

— Bywajcie, psubraty z pawimi czubami! bywajcie!

Lecz w tej chwili wszedł do gospody ten sam zakonnik, który już był poprzednio, a wraz z nim dwóch innych, starszych. Słudzy klasztorni nieśli za nimi kosze z wikliny, a w nich łagiewki z winem i różne zebrane naprędce przysmaki. Dwaj owi poczęli witać księżnę i znów wymawiać jej, że nie zajechała do opactwa, a ona tłómaczyła im powtórnie, że wyspawszy się w dzień wraz z całym dworem, podróżuje nocą dla chłodu, więc wypoczynku

jej nie trzeba — i że nie chcąc budzić ni znakomitego opata, ni zacnych zakonników, wolała zatrzymać się dla wyprostowania nóg w gospodzie.

Po wielu grzecznych słowach stanęło wreszcie na tem, że po jutrzni i mszy porannej księżna z dworem przyjmie śniadanie i wypoczynek w klasztorze. Uprzejmi zakonnicy zaprosili też wraz z Mazurami ziemian krakowskich i Maćka z Bogdańca, który i tak miał zamiar udać się do opactwa, aby dostatek, zdobyty na wojnie albo darem od hojnego Witolda otrzymany, a przeznaczon na wykupno z zastawu Bogdańca, w klasztorze złożyć. Ale młody Zbyszko nie słyszał zaprosin, skoczył bowiem do wozów swoich i stryjowskich, stojących pod strażą służby, by się odziać i w przystojniejszej odzieży księżnie i Danusi się przedstawić. Wziąwszy więc z wozu łuby, kazał je nieść do izby czeladnej i tam począł się przebierać. Utrefiwszy naprzód pośpiesznie włosy, wsunął je w pątlik jedwabny, bursztynowymi paciorkami wiązany, z przodu zaś mający perełki prawdziwe. Następnie wdział «jakę» z białego jedwabiu, naszytą w złote gryfy, u dołu zaś szlakiem ozdobną; z wierzchu opasał się pasem pozłocistym, podwójnym, przy którym wisiał mały kord, w srebro i kość słoniową oprawny. Wszystko to było nowe, bły-

szczące i wcale krwią nie poplamione, chociaż łupem na młodym rycerzu fryzyjskim, służącym u Krzyżaków, wzięte. Naciągnął następnie Zbyszko prześliczne spodnie, w których jedna nogawica była w podłużne pasy zielone i czerwone, druga w fioletowe i żółte, obie zaś kończyły się u góry pstrą szachownicą. Zaczem wdziawszy jeszcze purpurowe, z długimi nosami trzewiki, piękny i wyświeżony udał się do izby ogólnej.

Jakoż gdy stanął we drzwiach, widok jego mocne na wszystkich sprawił wrażenie. Księżna, widząc teraz, jak urodziwy rycerz ślubował miłej Danusi, uradowała się jeszcze bardziej, Danusia zaś skoczyła w pierwszej chwili ku niemu, jak sarna. Lecz czy to piękność młodzieńca, czy głosy podziwu dworzan wstrzymały ją, nim dobiegła, tak, że zatrzymawszy się na krok przed nim, spuściła nagle oczka i splótłszy dłonie, poczęła wykręcać paluszki, zapłoniona i zmieszana.

Lecz za nią przybliżyli się inni: sama pani, dworzanie i dwórki, i rybałci i zakonnicy, wszyscy bowiem chcieli mu się lepiej przypatrzeć. Panny mazowieckie patrzały na niego, jak w tęczę, żałując teraz każda, że nie ją wybrał — starsze podziwiały kosztowność ubioru, tak, że naokół utworzyło się koło ciekawych;

Zbyszko zaś stał w środku z chełpliwym uśmiechem na swej młodzieńczej twarzy i okręcał się nieco na miejscu, aby lepiej mogli mu się przyjrzeć.

— Któż to jest? — zapytał jeden z zakonników.

— To jest rycerzyk, bratanek tego oto ślachcica — odrzekła księżna, ukazując na Maćka — jen dopiero co Danusi ślubował.

A zakonnicy nie okazali też zdziwienia, albowiem takie ślubowanie nie obowiązywało do niczego. Ślubowano częstokroć niewiastom zamężnym, a w rodach znamienitych, wśród których zachodni obyczaj był znany, każda prawie miała swego rycerza. Jeśli zaś rycerz ślubował pannie, to nie stawał się przez to jej narzeczonym: owszem, najczęściej ona brała innego męża, a on, o ile posiadał cnotę stałości, nie przestawał jej być wprawdzie wiernym, ale żenił się z inną.

Trochę więcej dziwił zakonników młody wiek Danusi, wszelako i to nie bardzo, gdyż w owym czasie szesnastoletni wyrostkowie bywali kasztelanami. Sama wielka królowa Jadwiga w chwili przybycia z Węgier liczyła lat piętnaście, a trzynastoletnie dziewczęta szły za mąż. Zresztą patrzano w tej chwili więcej na Zbyszka, niż na Danusię, i słuchano słów Maćka, który dumny

z bratanka, opowiadał, w jaki sposób młodzik przyszedł do szat tak zacnych.

— Rok i dziewięć niedziel temu — mówił — byliśmy proszeni w gościnę przez rycerzy saksońskich. A był też u nich także w gościnie pewien rycerz z dalekiego narodu Fryzów, którzy hen, aż nad morzem mieszkają, a miał z sobą syna, trzy roki od Zbyszka starszego. Raz na uczcie ów syn począł Zbyszkowi nieprzystojnie przymawiać, iże ni wąsów ni brody nie ma. Zbyszko, jako jest wartki, nie słuchał tego mile, ale zaraz chwyciwszy go za gębę, wszystkie włosy mu z niej wydarł, o co później potykaliśmy się na śmierć lub na niewolę.

— Jak to, potykaliście się? — spytał pan z Długolasu.

— Bo się ojciec za synem ujął, a ja za Zbyszkiem: więc potykaliśmy się samoczwart, wobec gości, na udeptanej ziemi. Taka zaś stanęła umowa, że kto zwycięży, ten i wozy, i konie, i sługi zwyciężonego zabierze. I Bóg zdarzył. Porznęliśmy owych Fryzów, choć z niemałym trudem, bo im ni męstwa, ni mocy nie brakło, a łup wzięliśmy znamienity: było wozów cztery, w każdym po parze podjezdków — i cztery ogiery ogromne i sług dziewięciu — i zbroic dwie wybornych, jakich małobyś u nas znalazł. Hełmyśmy po prawdzie w boju połupali, ale Pan

Jezus w czem innem nas pocieszył, bo szat kosztownych była cała skrzynia przednio kowana — i te, w które się Zbyszko teraz przybrał, także w niej były.

Na to dwaj ziemianie z Krakowskiego i wszyscy Mazurowie poczęli spoglądać z większym szacunkiem na stryja i na synowca, zaś pan z Długolasu, zwany Obuchem, rzekł:

— Toście, widzę, chłopy nieociągliwe i srogie.

— Wierzym teraz, że ów młodzik czuby pawie dostanie!

A Maćko śmiał się, przyczem w surowej jego twarzy było istotnie coś drapieżnego.

Lecz tymczasem służba klasztorna powydobywała z wiklinowych koszów wino i przysmaki, a z czeladnej dziewki służebne poczęły wynosić misy, pełne dymiącej jajecznicy, a okolone kiełbasami, od których rozszedł się po całej izbie mocny a smakowity zapach wieprzowego tłuszczu. Na ten widok wezbrała we wszystkich ochota do jedzenia — i ruszono ku stołom.

Nikt jednak nie zajmował miejsca przed księżną, ona zaś siadłszy w pośrodku, kazała Zbyszkowi i Danusi usiąść naprzeciw przy sobie, a potem rzekła do Zbyszka:

— Słuszna, abyście jedli z jednej misy z Danusią, ale nie przystępuj jej nóg pod ławą, ani

też trącaj ją kolany, jak czynią inni rycerze, bo zbyt młoda.

Na to on odrzekł:

— Nie uczynię ja tego, miłościwa pani, chyba za dwa, albo za trzy roki, gdy mi Pan Jezus pozwoli ślub spełnić i gdy ta jagódka dojrzeje; a co do nóg przystępowania – choćbym i chciał, nie mogę, bo one w powietrzu wiszą.

— Prawda — odpowiedziała księżna — ale miło wiedzieć, że przystojne masz obyczaje.

Poczem zapadło milczenie, gdyż wszycy jeść poczęli. Zbyszko odkrawał co najtłustsze kawałki kiełbasy i podawał je Danusi, albo jej wprost do ust je wkładał, ona zaś rada, że jej tak strojny rycerz służy, jadła z wypchanymi policzkami, mrugając oczkami i uśmiechając się to do niego, to do księżnej.

Po wyprzątnięciu mis słudzy klasztorni poczęli nalewać wino słodkie i pachnące — mężom obficie, paniom po trochu, lecz rycerskość Zbyszkowa okazała się szczególnie wówczas, gdy wniesiono pełne garncówki przysłanych z klasztoru orzechów. Były tam laskowe i rzadkie podówczas, bo zdaleka sprowadzane, włoskie, na które też rzucili się biesiadnicy z wielką ochotą, tak, że po chwili w całej izbie słychać było tylko trzask skorup, kruszonych w szczękach. Lecz napróżnoby kto mniemał, że Zbyszko

myślał tylko o sobie, albowiem wolał on pokazywać i księżnie i Danusi swoją rycerską siłę i wstrzemięźliwość, niż łapczywością na rzadkie przysmaki poniżyć się w ich oczach. Jakoż, nabierając co chwila pełną garść orzechów — czy to laskowych, czy włoskich — nie wkładał ich między zęby, jak czynili inni, ale zaciskał swe żelazne palce, kruszył je, a potem podawał Danusi wybrane z pośród skorup ziarna. Wymyślił nawet dla niej i zabawę, albowiem po wybraniu ziarn zbliżał do ust pięść i wydmuchiwał nagle swym potężnym tchem skorupy aż pod pułap. Danusia śmiała się tak, że aż księżna z obawy, że się dziewczyna udławi, musiała mu nakazać, by tej zabawy zaniechał, widząc jednak uradowanie dziewczyny, spytała:

— A co, Danuśka? dobrze mieć swego rycerza?

— Oj! dobrze! — odpowiedziała dziewczyna.

A potem, wyciągnąwszy swój różowy paluszek, dotknęła nim białej jedwabnej «jaki» Zbyszkowej i cofając go natychmiast, zapytała:

— A jutro też będzie mój?

— I jutro, i w niedzielę, i aż do śmierci — odparł Zbyszko.

Wieczerza przeciągnęła się, gdyż po orzechach podano słodkie placki, pełne rodzynków. Niektórym z dworzan chciało się tańcować; inni

chcieli słuchać śpiewania rybałtów lub Danusi; ale Danusi pod koniec poczęły się oczka kleić, a główka chwiać w obie strony: raz i drugi spojrzała jeszcze na księżnę, potem na Zbyszka, raz jeszcze przetarła piąstkami powieki — i zaraz potem, oparłszy się z wielką ufnością o ramię rycerzyka, usnęła.

— Śpi? — zapytała księżna. — Ot masz swoją «damę».

— Milsza mi ona we śnie, niżeli inna w tańcu — odrzekł Zbyszko, siedząc prosto i nieruchomie, by dziewczyny nie zbudzić.

Ale jej nie zbudziło nawet granie i śpiewy rybałtów. Inni też przytupywali muzyce, inni brząkali do wtóru misami, lecz im gwar był większy, tem ona spała lepiej z otwartemi, jak rybka, ustami.

Zbudziła się dopiero, gdy na odgłos piania kurów i dzwonów kościelnych wszyscy ruszyli się z ław, wołając:

— Na jutrznię! na jutrznię!

— Pójdziem piechotą, na chwałę Bogu — rzekła księżna.

I wziąwszy za rękę rozbudzoną Danusię, wyszła pierwsza z gospody, a za nią wysypał się cały dwór.

Noc już zbielała. Na wschodzie nieba widać było leciuchną jasność, zieloną u góry, różową

od spodu, a pod nią jakby wązką, złotą wstążeczkę, która rozszerzała się w oczach. Od zachodniej strony księżyc zdawał się cofać przed tą jasnością. Czynił się brzask coraz różowszy, jaśniejszy. Świat budził się mokry od obfitej rosy, radosny i wypoczęty.

— Bóg dał pogodę, ale upał będzie okrutny — mówili dworzanie książęcy.

— Nie szkodzi — uspokajał ich pan z Długolasu — wyśpimy się w opactwie, a do Krakowa przyjedziem pod wieczór.

— Pewnikiem znów na ucztę.

— Codzień tam teraz uczty, a po połogu i po gonitwach nastąpią jeszcze większe.

— Obaczym, jako się pokaże rycerz Danusin.

— Ej, dębowe to jakieś chłopy!... Słyszeliście, co prawili o onej bitwie samoczwart?

— Może do naszego dworu przystaną, bo się jakoś między sobą naradzają.

A oni rzeczywiście się naradzali, gdyż starszy Maćko nie był zbyt rad z tego, co zaszło, idąc więc na końcu orszaku i przystając umyślnie, by swobodniej pogadać, mówił:

— Po prawdzie, nic ci po tem. Ja się tam jakoś do króla docisnę, choćby z tym oto dworem — i może coś dostaniem. Okrutnieby mnie się chciało jakowegoś zameczku, albo gródka... No, obaczym. Bogdaniec swoją drogą z zastawu

wykupim, bo co ojce dzierżyli, to i nam dzierżyć. Ale skąd chłopów? Co opat osadził, to i napowrót weźmie, a ziemia bez chłopów tyle co nic. Tedy miarkuj, co ci rzekę: ty sobie ślubuj, nie ślubuj, komu chcesz, a z panem z Mielsztyna idź do księcia Witolda na Tatary. Jeśli wyprawę przed połogiem królowej otrąbią, tedy na zlegnięcie, ani na gonitwy rycerskie nie czekaj, jeno idź, bo tam może być korzyść. Kniaź Witold wiesz, jako jest hojny, a ciebie już zna. Sprawisz się, to obficie nagrodzi. A nadewszystko — zdarzy-li Bóg — niewolnika możesz nabrać bez miary. Tatarów, jak mrowia na świecie. W razie zwycięstwa przypadnie i kopa na jednego.

Tu Maćko, który był chciwy na ziemię i robociznę, począł marzyć:

— Boga mi! Przygnać tak z pięćdziesiąt chłopa i osadzić na Bogdańcu! Przetrzebiłoby się puszczy szmat. Uroślibyśmy oba. A ty wiedz, że nigdzie tylu nie nabierzesz, ilu tam można nabrać!

Lecz Zbyszko począł głową kręcić.

— O wa! koniuchów natroczę, końskiem padłem żyjących, roli niezwyczajnych! Co po nich w Bogdańcu?... A przytem ja trzy niemieckie grzebienie ślubowałem. Gdzieże je znajdę między Tatary?

— Ślubowałeś, boś głupi, ale takie to tam i śluby.

— A moja rycerska cześć? jakże?

— A jak było z Ryngałłą?

— Ryngałła księcia otruła i pustelnik mnie rozwiązał.

— To cię w Tyńcu opat rozwiąże. Lepszy opat od pustelnika, jen-to więcej zbójem, niźli zakonnikiem patrzył.

— A nie chcę.

Maćko zatrzymał się i zapytał z widocznym gniewem:

— No, to jakoże będzie?

— Jedźcie sobie sami do Witolda, bo ja nie pojadę.

— Ty knechcie! A kto się królowi pokłoni?... i nie żal ci to moich kości?

— Na wasze kości drzewo się zwali, jeszcze ich nie połamie. A choćby mi też było was żal — nie chcę do Witolda.

— Cóże będziesz robił? Sokolnikiem, czyli też rybałtem przy dworze mazowieckim zostaniesz?

— Albo to sokolnik co złego? Skoro wolicie mruczeć, niż mnie słuchać, to mruczcie.

— Gdzie pojedziesz? Za nic ci Bogdaniec? Pazurami będziesz w nim orał? bez chłopów?

— Nieprawda! Chwackoście wymądrowali

z Tatarami. Zabaczyliście, co prawili Rusini, że Tatarów tyle najdziesz, ile ich pobitych na polu leży, a niewolnika nikt nie ulapi, bo Tatara we stepie nie zgoni. Na czemże go będę gonił? Na onych ciężkich ogierach, któreśmy na Niemcach wzięli. Widzicie-no! A co za łup wezmę? Parszywe kożuchy i nic więcej. O to dopiero bogaczem do Bogdańca zjadę! to dopiero mnie komesem nazowią!

Maćko umilkł, albowiem w słowach Zbyszkowych wiele było słuszności, i dopiero po chwili rzekł:

— Aleby cię kniaź Witold nagrodził.

— Ba, wiecie: jednemu da on za dużo, drugiemu nic.

— To gadaj, gdzie pojedziesz.

— Do Juranda ze Spychowa.

Maćko przekręcił ze złości pas na skórzanym kaftanie i rzekł:

— Bodajżeś olsnął!

— Posłuchajcie — odpowiedział spokojnie Zbyszko. — Gadałem z Mikołajem z Długolasu i ten prawi, że Jurand pomsty na Niemcach za żonę szuka. Pójdę, pomogę mu. Po pierwsze samiście rzekli, że nie cudnie mi już z Niemcami się potykać, bo i ich i sposoby na nich znamy. Po drugie, prędzej ja tam nad granicą one pawie czuby dostanę, a po trzecie, to wiecie, że

pawi grzebień nie lada knecht na łbie nosi, więc jeśli Pan Jezus przysporzy grzebieni, to przysporzy i łupu. W końcu: niewolnik tamtejszy, to nie Tatar. Takiego w boru osadzić — nie żal się Boże.

— Cóżeś ty, chłopie, rozum stracił? przecie niema teraz wojny i Bóg wie, kiedy będzie!

— O moiście wy! Zawarły niedźwiedzie pokój z bartnikami i barci nie psowają, ni miodu nie jedzą! Ha, ha! A czy to nowina wam, że choć wielkie wojska nie wojują i choć król z mistrzem pod pergaminem pieczęcie położą, na granicy zawsze mąt okrutny? Zajmą-li sobie bydło, trzody, to się za jeden krowi łeb po kilka wsiów pali i zamki oblegają. A porywanie chłopów i dziewek? a kupców na gościńcach? wspomnijcie czasy dawniejsze, o których samiście mi rozpowiadali. Źle to było onemu Nałęczowi, który czterdziestu rycerzy do Krzyżaków jadących chycił, w podziemiu osadził i póty nie puścił, póki mu pełnego woza grzywien mistrz nie przysłał? Jurand ze Spychowa też nic innego nie czyni i nad granicą zawsze gotowa robota.

Przez chwilę szli w milczeniu, tymczasem rozwidniło się zupełnie i jasne promienie słońca rozświeciły skały, na których pobudowane było opactwo.

— Bóg wszędzie może poszczęścić — rzekł wreszcie udobruchanym głosem Maćko; — proś, żeby ci błogosławił.

— Pewno, że wszystko jego łaska!

— I myśl o Bogdańcu, bo w tem mnie nie przekonasz, że ty dla Bogdańca, nie dla tego kaczego kłapaka do Juranda ze Spychowa chcesz jechać.

— Nie powiadajcie tak, bo się rozgniewam. Rad ją widzę i tego się nie zapieram; inne też to, niż dla Ryngally ślubowanie. Spotkaliście urodziwszą?

— Co mi ta jej uroda! Wolej weź ją, jak dorośnie, jeśli możnego komesa córka.

A Zbyszkowi rozjaśniła się twarz młodym, dobrym uśmiechem.

— Może i to być. Ni innej pani, ni innej żony! Jak wam kości sparcieją, będziecie wy jeszcze wnuki po mnie i po niej piastowali.

Na to uśmiechnął się z kolei Maćko i odrzekł całkiem już udobruchany.

— Grady! Grady!... a niechże ich będzie, jako gradu. Na starość radość, a po śmierci zbawienie. To nam, Jezu, daj!

III.

Księżna Danuta, Maćko i Zbyszko bywali już poprzednio w Tyńcu, ale w orszaku byli dworzanie, którzy widzieli go po raz pierwszy, i ci, podnosząc oczy, patrzyli ze zdumieniem na wspaniałe opactwo, na zębate mury, biegnące wzdłuż skał nad urwiskami, na gmachy, stojące to na zboczach góry, to wewnątrz blanków, spiętrzone, wyniosłe i jaśniejące złotem od wschodzącego słońca. Z tych okazałych murów i gmachów, z domów, z budowli, przeznaczonych na rozliczne użytki, z ogrodów, leżących u stóp góry i ze starannie uprawnych pól, które wzrok z wysoka ogarniał, można było na pierwszy rzut oka poznać bogactwo odwieczne, nieprzebrane, do którego nie przywykli i którem zdumiewać się musieli ludzie z ubogiego Mazowsza. Istniały wprawdzie starożytne a możne opactwa benedyktyńskie i w innych częściach kraju, jak na przykład w Lubuszu nad Odrą, w Płocku, w Wielkopolsce, w Mogilnie i w innych miejscach, ża-

dne wszelako nie mogło porównać się z Tynieckiem, którego posiadłości przewyższały niejedno księstwo udzielne, a dochody mogły budzić zazdrość nawet ówczesnych królów.

Między dworzany rósł więc podziw, a niektórzy oczom prawie nie chcieli wierzyć. Tymczasem księżna, chcąc sobie drogę skrócić i zaciekawić panny przyboczne, poczęła prosić jednego z zakonników, by opowiedział starodawną a straszną powieść o Walgierzu Wdałym, którą opowiadano jej już, chociaż nie zbyt dokładnie, w Krakowie.

Usłyszawszy to, panny zbiły się ciasnem stadkiem koło pani i szły zwolna pod górę, we wczesnych promieniach słońca, do idących kwiatów podobne.

— Niech o Walgierzu prawi brat Hidulf, któremu on się pewnej nocy ukazał — rzekł jeden z zakonników, spoglądając na drugiego, człowieka sędziwych już lat, który w pochylonej nieco postawie szedł obok Mikołaja z Długolasu.

— Zali widzieliście go własnemi oczyma, pobożny ojcze? — spytała księżna.

— Widziałem — odpowiedział posępnie zakonnik — albowiem zdarzają się takowe terminy, w których z woli Bożej wolno mu jest

opuszczać piekielne podziemia i ukazywać się światu.

— Kiedyż to bywa?

Zakonnik spojrzał na dwóch innych i zamilkł, albowiem istniało podanie, że duch Walgierza pojawia się wówczas, gdy w zakonie psują się obyczaje i gdy zakonnicy więcej, niż wypada, o światowych dostatkach i uciechach myślą.

Tego właśnie żaden nie chciał głośno wyznać, że jednak mówiono także, iż widmo przepowiada równie wojnę, lub inne nieszczęścia, przeto brat Hidulf po chwili milczenia rzekł:

— Ukazanie się jego nie wróży nic dobrego.

— Nie chciałabym też go widzieć — rzekła, żegnając się, księżna — ale czemu to on jest w piekle, skoro, jako słyszałam, tylko za ciężką własną krzywdę się pomścił?

— Choćby też i całe życie był cnotliwy — odparł surowo zakonnik — byłby i tak potępion, albowiem żył za pogańskich czasów i chrztem świętym nie został z pierworodnego grzechu obmyty.

Po tych słowach brwi księżnej ściągnęły się boleśnie, przyszło jej bowiem na myśl, że jej wielki ojciec, którego miłowała całą duszą, zmarł także w błędach pogańskich, i miał gorzeć przez całą wieczność.

— Słuchamy — rzekła po chwili milczenia.

A brat Hidulf począł odpowiadać:

— Był za czasów pogańskich hrabia możny, którego dla wielkiej urody zwano Walgierzem Wdałym. Cały ten kraj, jako okiem sięgnąć, należał do niego, a na wyprawy, prócz pieszego ludu, wodził po stu kopijników, wszyscy bowiem włodycy, na zachód aż po Opole, a na wschód po Sandomierz, wasalami jego byli. Trzód jego nie mógł nikt zliczyć, a w Tyńcu miał wieżę całą nasypaną pieniędzmi, jako teraz mają w Malborgu Krzyżacy.

— Wiem, mają! — przerwała księżna Danuta.

— I był jako wielkolud — ciągnął dalej zakonnik — i dęby z korzeniem wyrywał, a w piękności, w graniu na lutni i w śpiewaniu nikt w całym świecie sprostać mu nie mógł. A raz, gdy był na dworze króla francuskiego, rozmiłowała się w nim królewna Helgunda, którą ojciec na chwałę Bogu do zakonu chciał oddać, i uciekła z nim do Tyńca, gdzie w sprosności oboje żyli, gdy żaden ksiądz ślubu chrześcijańskiego dać im nie chciał. Był zaś w Wiślicy Wisław Piękny z rodu króla Popiela. Ten podczas niebytności Walgierza Wdałego grabstwo Tynieckie pustoszył. Tego pokonał Walgierz i do Tyńca do niewoli przywiódł, nie bacząc, że która tylko niewiasta ujrzała Wisława, gotowa była zaraz

ojca, matki i męża odstąpić, byle swe żądze nasysić. Tak stało się i z Helgundą. Zaraz ona takowe więzy na Walgierza wymyśliła, że on wielkolud, choć dęby wyrywał, przerwać ich nie mógł — i Wisławowi go oddała, który do Wiślicy go powiózł. Lecz Rynga, siostra Wisława, usłyszawszy w podziemiu śpiewanie Walgierzowe, wnet rozmiłowana, uwolniła go z podziemia, a ów Wisława i Helgundę mieczem posiekłszy, ciała ich krukom zostawił, a sam z Ryngą do Tyńca powrócił.

— Zali nie słusznie uczynił? — spytała księżna.

A brat Hidulf rzekł:

— Gdyby był chrzest przyjął i Tyniec Benedyktynom oddał, możeby mu Bóg grzechy odpuścił, ale że tego nie uczynił, przeto go ziemia pożarła.

— A to Benedyktyni byli już w tem królestwie?

— Benedyktynów w tem królestwie nie było, albowiem tu sami wówczas żyli poganie.

— To jakże mógł chrzest przyjąć, albo Tyniec oddać?

— Nie mógł, i właśnie dlatego skazan jest do piekła na męki wiekuiste — odrzekł z powagą zakonnik.

— Pewnie! słusznie mówi! — ozwało się kilka głosów.

Lecz tymczasem zbliżyli się do głównej bramy klasztornej, w której czekał na księżnę opat na czele licznego orszaku zakonników i szlachty. Ludzi świeckich: «ekonomów», «adwokatów», «prokuratorów» i rozmaitych urzędników zakonnych zawsze bywało w klasztorze sporo. Wielu też ziemian, możnych nawet rycerzy, trzymało nieprzeliczone ziemie klasztorne dość wyjątkowem w Polsce prawem lennem — i ci, jako «wasale», radzi przebywali na dworze «suzerena», gdzie przy wielkim ołtarzu łatwo było o darowizny, ulgi i wszelkiego rodzaju dobrodziejstwa, zależne nieraz od drobnej usługi, od zręcznego słowa, lub od chwili dobrego humoru potężnego opata. Przygotowujące się uroczystości w stolicy ściągnęły też wielu takich wasalów z odległych stron, ci zaś, którym trudno było z powodu natłoku znaleźć gospodę w Krakowie, mieścili się w Tyńcu. Z tych powodów «abbas centum villarum» mógł powitać księżnę w liczniejszym jeszcze, niż zwyczajnie, orszaku.

Był to człowiek wysokiego wzrostu, z twarzą suchą, rozumną, z głową wygoloną na wierzchu, niżej zaś, nad uszami, otoczoną wieńcem siwiejących włosów. Na czole miał bliznę po ranie, widocznie za młodych rycerskich cza-

sów otrzymanej, oczy przenikliwe, wyniośle z pod czarnych brwi patrzące. Ubrany był w habit, jak inni mnisi, ale na wierzchu miał czarny płaszcz, podbity purpurą, na szyi zaś złoty łańcuch, na którego końcu zwieszał się również złoty, drogimi kamieniami sadzony krzyż, godło opackiej godności. Cała jego postawa zdradzała człowieka dumnego, przywykłego do rozkazywania i ufnego w siebie.

Witał jednak księżnę uprzejmie, a nawet uniżenie, pamiętał bowiem, że mąż jej pochodził z tego samego rodu książąt mazowieckich, z którego pochodzili królowie Władysław i Kazimierz, a po kądzieli i obecnie panująca królowa, władczyni jednego z największych państw w świecie. Przestąpił więc próg bramy, skłonił nizko głowę, a następnie przeżegnawszy Annę Danutę i cały dwór małą złotą puszką, którą trzymał w palcach prawej ręki, rzekł:

— Witaj, miłościwa pani, w ubogich progach zakonnych. Niechaj św. Benedykt z Nursyi, św. Maurus, św. Bonifacy i św. Benedykt z Aniane, a także i Jan z Tolomei, patronowie nasi w światłości wiekuistej żyjący, obdarzą cię zdrowiem, szczęściem i niechaj błogosławią cię po siedm razy dziennie, przez wszystek czas żywota twego.

— Chybaby głusi byli, gdyby nie mieli wy-

słuchać słów tak wielkiego opata — rzekła uprzejmie księżna — tembardziej, że my tu na mszę przybyli, podczas której ich opiece się oddamy.

To rzekłszy, wyciągnęła ku niemu rękę, którą on, przeklęknąwszy dwornie na jedno kolano, ucałował po rycersku, a następnie przeszli razem bramę. Ze mszą czekano już widocznie, gdyż w tej chwili ozwały się dzwony i dzwonki; trębacze zadęli przy drzwiach kościelnych na cześć księżny w donośne trąby, inni uderzyli w ogromne kotły, wykute z miedzi czerwonej i obciągnięte skórą, dającą huczny rozgłos. Na księżnę, która nie urodziła się w kraju chrześcijańskim, każdy kościół silne dotychczas czynił wrażenie, ów zaś, tyniecki, sprawiał tem większe, że pod względem wspaniałości mało innych mogło się z nim porównać. Mrok napełniał głębię świątyni, tylko przy wielkim ołtarzu drgały pasemka świateł rozmaitych, pomieszane z blaskiem świec, rozjaśniających złocenia i rzeźby. Zakonnik, przybrany w ornat, wyszedł ze mszą, skłonił się księżnie i rozpoczął ofiarę. Wnet wzniosły się dymy wonne, a obfite, które przesłoniwszy księdza i ołtarz, szły w spokojnych kłębach ku górze, powiększając tajemniczą uroczystość kościoła. Anna Danuta pochyliła w tył głowę i rozłożywszy ręce na wysokości twarzy,

poczęła się modlić żarliwie. Lecz gdy ozwały się rzadkie jeszcze wówczas po kościołach organy i poczęły to potrząsać całą nawę grzmotem wspaniałym, to wypełniać ją anielskimi głosami, to zasypywać jakoby pieśnią słowiczą, wówczas oczy księżny wzniosły się do góry, na twarzy jej, obok pobożności i lęku, odmalowała się rozkosz bez granic — i patrzącemu na nią zdawać się mogło, że to jakowaś Błogosławiona, która w cudownem widzeniu ogląda niebo otwarte.

Tak to modliła się urodzona w pogaństwie córka Kiejstuta, która, choć w życiu codziennem, równie jak i wszyscy ludzie tych czasów, po przyjacielsku i poufale wspominała Imię Boże, jednakże w domu Pana z dziecinną bojaźnią i pokorą wznosiła oczy ku tajemniczej i niezmierzonej potędze.

A tak samo pobożnie, choć z mniejszym lękiem, modlił się cały dwór. Zbyszko klęczał przed stallami wśród Mazurów, bo tylko dworki weszły z księżną za stalle, i polecał się opiece boskiej. Chwilami spoglądał na Danusię, która siedziała z przymkniętemi oczyma koło księżny, i myślał, że warto było wprawdzie zostać rycerzem takiej dzieweczki, ale że też nie lada rzecz jej obiecał. Więc teraz, gdy piwo i wino, które w gospodzie wypił, wywietrzało mu z gło-

wy, zatroskał się niemało, jakim sposobem ją wypełni. Wojny nie było. Wśród nadgranicznego mętu łatwo było wprawdzie natknąć się na jakiego zbrojnego Niemca i albo jemu kości pokolatać, albo samemu głową nałożyć. Tak to on i mówił Maćkowi. «Jeno — myślał — nie byle Niemiec nosi pawi lub strusi czub na helmie». Z gości krzyżackich chyba jacy grafowie, a z samych Krzyżaków chyba komtur — i to nie każdy. Jeśli wojny nie będzie, to lata mogą upłynąć, nim on swoje trzy grzebienie dostanie, bo i to jeszcze przyszło mu do głowy, że nie będąc dotąd pasowany, może tylko niepasowanych na pojedynkę w bój wyzywać. Spodziewał się wprawdzie, że pas rycerski otrzyma z rąk królewskich w czasie gonitw, które zapowiadano na chrzciny, bo na to dawno zarobił, ale potem co? Pojedzie do Juranda ze Spychowa, będzie mu pomagał, natłucze knechtów, ile się da — i na tem koniec. Knechci krzyżaccy — to nie rycerze z pawiemi piórami na głowach.

Więc w tem utrapieniu i niepewności, widząc, że bez szczególnej łaski Bożej niewiele wskórać potrafi, począł się modlić:

«Daj, Jezu, wojnę z Krzyżaki i z Niemcami, którzy są nieprzyjaciółmi królestwa tego i wszystkich narodów, w naszej mowie Imię

Twoje Święte wyznawających. I nam błogosław, a ich zetrzyj, którzy radziej staroście piekielnemu, niżeli Tobie służąc, przeciwko nam zawziętość w sercu noszą, najbardziej o to gniewni, że król nasz z królową Litwę ochrzciwszy, wzbraniają im mieczem chrześcijańskich sług Twoich ścinać. Za któren gniew ich ukarz.

«A ja, grzeszny Zbyszko, kajam się przed Tobą i od piąci ran Twoich wspomożenia błagam, abyś mi trzech znacznych Niemców z pawimi czuby na helmach jako najprędzej zesłał i w miłosierdziu swojem pobić mi ich do śmierci pozwolił. Ale to z takowej przyczyny, iżem ja one czuby pannie Danucie, Juranda córce, a Twojej służce, obiecał i na moją rycerską cześć poprzysiągł.

«Co zasię więcej przy pobitych się znajdzie, z tego ja dziesięcinę wiernie kościołowi Twemu świętemu oddam, abyś i ty, słodki Jezu, pożytek i chwałę ze mnie odniósł i abyś poznał, żem Ci szczerem sercem, nie po próżnicy obiecował. A jako to jest prawda, tak mi dopomóż, amen!»

Lecz w miarę jak się modlił, topniało w nim coraz bardziej z pobożności serce — i nową obietnicę przyrzucił: że po wykupieniu z zastawu Bogdańca, odda także na kościół wszystek wosk, który pszczoły przez cały rok w bar-

ciach zrobią. Spodziewał się, że stryj Maćko temu się nie sprzeciwi, a pan Jezus szczególniej będzie rad z wosku na świece — i chcąc go prędzej dostać, prędzej mu też pomoże. Ta myśl wydała mu się tak słuszną, iż radość napełniła mu całkiem duszę: był też prawie pewien, że zostanie wysłuchany i że wojna niebawem nastąpi, a choćby nie nastąpiła, to i tak on swego dokaże. Poczuł w rękach, w nogach moc tak wielką, że w tej chwili byłby sam jeden na całą chorągiew uderzył. Pomyślał nawet, że przyczyniwszy obietnic Bogu, możnaby i Danusi ze dwóch Niemców przyrzucić! Zapalczywość młodzieńcza popychała go do tego, lecz tym razem roztropność wzięła górę, albowiem bał się, by zbytniem żądaniem cierpliwości Boskiej się nie uprzykrzyć.

Jednakże ufność jego wzrosła jeszcze, gdy po mszy i po długim wypoczynku, na który udał się cały dwór, wysłuchał rozmowy, którą opat prowadził przy śniadaniu z Anną Danutą.

Ówczesne żony książąt i królów, zarówno przez pobożność, jak i wskutek wspaniałych darów, których nie szczędzili im Mistrzowie Zakonu, wielką okazywały przyjaźń Krzyżakom. Nawet świętobliwa Jadwiga powstrzymywała, póki jej życia stało, wzniesioną nad nimi

rękę swego władnego małżonka. Jedna tylko Anna Danuta, doznawszy od nich okrutnych krzywd rodzinnych, nienawidziła ich z całej duszy. To też gdy opat zapytał ją o Mazowsze i jego sprawy, poczęła gorzko skarżyć się na Zakon: «Jakoż się ma dziać w księstwie, mającem takich sąsiadów? Niby jest pokój: mijają się poselstwa i listy, a mimo to nie można być pewnym dnia i godziny. Kto wieczorem na pograniczu układa się spać, nigdy nie wie, czyli nie rozbudzi się w pętach, albo z ostrzem miecza na gardzieli, albo z płonącym pułapem nad głową. Nie ubezpieczą od zdrady przysięgi, pieczęcie i pergaminy. Nie inaczej przecie zdarzyło się pod Złotoryą, gdy w czasach najgłębszego pokoju porwano księcia w niewolę. Prawili Krzyżacy, że zamek ów groźnym dla nich stać się może. Aleć zamki naprawia się dla obrony, nie dla napadu — i któryż książę nie ma prawa we własnej ziemi ich stawiać, albo przebudowywać? Nie przejedna Zakonu ni słaby, ni mocny, bo słabym gardzą, mocnego zaś do upadku przywieść usiłują. Kto im dobrze uczyni, temu się złem wypłacą. Jest-że na świecie zakon, któryby w innych królestwach takie dobrodziejstwa otrzymał, jakie oni od polskich książąt otrzymali — a jakże się wypłacili? Oto nienawiścią, oto grabieżą ziem, oto

wojną i zdradą. I próżno wyrzekać, próżno samej Stolicy Apostolskiej się na nich skarżyć, gdyż oni w zatwardziałości i pysze żyjąc, nawet papieża rzymskiego nie słuchają. Przysłali niby teraz poselstwo na połóg królowej i na spodziewane chrzciny, ale tylko dlatego, że chcą od siebie gniew potężnego króla za to, co uczynili na Litwie, odwrócić. W sercach zawsze jednak myślą o zagładzie królestwa i całego plemienia polskiego».

Opat słuchał poważnie i potakiwał, a potem rzekł:

— Wiem, iż przyjechał do Krakowa na czele poselstwa komtur Lichtenstein, brat w Zakonie dla znakomitego rodu, męstwa i rozumu wielce szanowany. Może go tu niebawem miłościwa pani ujrzycie, albowiem przysłał mi wczoraj wiadomość, że chcąc się przy naszych relikwiach pomodlić, zjedzie do Tyńca w odwiedziny.

Usłyszawszy to, księżna poczęła nowe żale rozwodzić:

— Prawią ludzie — i bogdaj słusznie, że wkrótce musi wielka wojna nastąpić, w której po jednej stronie będzie królestwo polskie i wszystkie narody, mówiące podobną do polskiej mową, a z drugiej wszyscy Niemcowie

i Zakon. Jest podobno o tej wojnie proroctwo jakowejś świętej...

— Brygidy — przerwał uczony opat — osiem roków temu została ona w poczet świętych zaliczona. Pobożny Piotr z Alwastra i Maciej z Linköping spisali jej objawienia, w których wielka wojna istotnie jest przepowiedziana.

Zbyszko aż zadrżał z radości na te słowa i nie mogąc wytrzymać, zapytał:

— A prędko ma być?

Lecz opat, zajęty księżną, nie dosłyszał, a może udał, że nie dosłyszał pytania.

Księżna zaś prawiła dalej:

— Cieszą się i u nas młodzi rycerze na oną wojnę, ale starsi i rozważniejsi tak mówią: «Nie Niemców — mówią — się boim, choć wielka jest ich potęga i pycha, nie ich kopii i mieczów, ale — prawią — relikwii krzyżackich się boim, bo przeciw tym na nic wszelka moc ludzka».

Tu Anna Danuta spojrzała z przestrachem na opata i dodała cichszym głosem:

— Podobno prawdziwe drzewo Krzyża Świętego mają: jakże z nimi wojować?

— Przysłał im je król francuski — odrzekł opat.

Nastała chwila milczenia, poczem zabrał

głos Mikołaj z Długolasu, zwany Obuchem, człowiek bywały i doświadczony.

— Byłem w niewoli u Krzyżaków — rzekł — i widywałem procesye, na których ową wielką świętość noszono. Ale oprócz tego jest w klasztorze w Oliwie siła innych najprzedniejszych relikwii, bez których nie byłby Zakon do takiej potęgi doszedł.

Na to powyciągali Benedyktyni głowy ku mówiącemu i z wielkiem zaciekawieniem poczęli pytac:

— Powiadajcie, co jest?

— Jest krajka z szaty Najświętszej Panny — odrzekł dziedzic z Długolasu — jest trzonowy ząb Maryi Magdaleny i głowienki z krza ognistego, w którym się sam Bóg Ojciec Mojżeszowi pokazał, jest ręka św. Liberyusza, a co kości innych świętych, tychbym na palcach u rąk i nóg nie zliczył...

— Jakoże z nimi wojować? — powtórzyła z westchnieniem księżna.

A opat zmarszczył swe wyniosłe czoło i zastanowiwszy się przez chwilę, tak odrzekł:

— Ciężko z nimi wojować choćby i dlatego, że są zakonnikami i krzyż na płaszczach noszą; ale jeśli przebrali miarę w grzechach, tedy i tym relikwiom może mieszkanie między nimi obrzydnąć, a naonczas nietylko one mocy

im nie dodadzą, ale im ją odejmą, dlatego, żeby między pobożniejsze ręce się dostać. Niech Bóg oszczędzi krwi chrześcijańskiej, ale jeśli wielka wojna nastąpi, są też i w naszem królestwie relikwie, które za nas będą wojować. Głos zasię w objawieniu św. Brygidy mówi: «Postanowiłem ich pszczołami pożyteczności i utwierdziłem na brzegu ziem chrześcijańskich. Ale oto powstali przeciwko mnie. Bo nie dbają o dusze i nie litują się ciał tego ludu, który z błędu nawrócił się ku wierze katolickiej i ku mnie. I uczynili z niego niewolników, i nie uczą go przykazań Bożych, i odejmując mu sakramenta święte, na większe jeszcze męki piekielne go skazują, niż gdyby był w pogaństwie pozostał. A wojny toczą ku rozpostarciu swej chciwości. Dlatego przyjdzie czas, iże wyłamane będą ich zęby i będzie im ucięta ręka prawa, a prawa noga im ochromieje, aby uznali grzechy swoje».

— Tak Bóg daj! — zawołał Zbyszko.

Inni rycerze i zakonnicy nabrali także wielkiej otuchy, słysząc słowa proroctwa, opat zaś zwrócił się do księżny i rzekł:

— Dlatego miejcie ufność w Bogu, miłościwa pani, albowiem prędzej to ich dni, niż wasze są policzone, a tymczasem przyjmijcie wdzięcznem sercem tę oto puszkę, w której palec od nogi

św. Ptolomeusza, jednego z naszych patronów, się znajduje.

Księżna wyciągnęła drżące ze szczęścia dłonie — i klęknąwszy, przyjęła puszkę, którą zaraz poczęła do ust przyciskać. Radość pani podzielali dworzanie i dworki, nikt bowiem nie wątpił, że z takiego podarku splynie błogosławieństwo i pomyślność na wszystkich, a może i na całe księstwo. Zbyszko czuł się także szczęśliwym, gdyż zdało mu się, że wojna powinna zaraz po uroczystościach krakowskich nastąpić.

IV.

Było już dobrze z południa, gdy księżna wraz z orszakiem wyruszyła z gościnnego Tyńca do Krakowa. Częstokroć ówcześni rycerze, wjeżdżając do większych miast lub do zamków, w odwiedziny do znakomitych osób, przywdziewali na się pełny rynsztunek bojowy. Był wprawdzie zwyczaj zdejmować go zaraz po przebyciu bram, do czego w zamkach wzywał sam gospodarz uświęconemi słowy: «Zdejmcie zbroję, szlachetny panie, albowiem przybyliście do przyjaciół» — niemniej jednak wjazd «wojenny» uważał się za okazalszy i podnosił znaczenie rycerza. Gwoli tej to okazałości tak Maćko, jak i Zbyszko przybrali się w wyborne pancerze i w naramienniki, zdobyte na rycerzach fryzyjskich, — jasne, błyszczące i po brzegach wpuszczoną nicią złotą ozdobne. Mikołaj z Długolasu, który dużo świata i wielu rycerzy w życiu widział, a był rzeczy wojennych znawcą niemałym, poznał zaraz, iż są to zbroje kowane przez medyolańskich, naj-

słynniejszych w świecie płatnerzy, takie, na jakie najbogatsi tylko rycerze wspomódz się mogą i z których każda za dobrą majętność starczy. Wnioskował z tego, że owi Fryzowie musieli być znakomitymi ludźmi w swoim narodzie, i z tem większym szacunkiem począł spoglądać na Maćka i Zbyszka. Lecz hełmy ich, lubo także niepoślednie, nie były tak bogate; natomiast olbrzymie ogiery, pięknie pokryte, wzbudziły między dworzanami podziw i zazdrość. I Maćko, i Zbyszko, siedząc na niezmiernie wysokich kulbakach, spoglądali z góry na cały dwór. Każdy z nich dzierżył w ręku długą kopię, każdy miał miecz przy boku i topór u siodła. Tarcze oddali wprawdzie dla wygody na wozy, ale i bez nich obaj wyglądali tak, jakby ciągnęli na bitwę, nie do miasta.

Obaj też jechali w pobliżu kolaski, w której na tylnem siedzeniu siedziała księżna z Danusią, na przodku zaś stateczna dworka Ofka, wdowa po Krystynie z Jarząbkowa, i stary Mikołaj z Długolasu. Danusia spoglądała z wielkiem zajęciem na żelaznych rycerzy, księżna zaś, dobywając od czasu do czasu z zanadrza puszkę z relikwiami św. Ptolomeusza, podnosiła ją do ust.

— Ciekawam okrutnie, jak kości w środku wyglądają — rzekła wreszcie — ale sama nie

otworzę, aby Świętego nie urazić. Niech otworzy biskup w Krakowie.

Na co ostrożny Mikołaj z Długolasu odrzekł:

— Ej, lepiej tego z rąk nie popuszczać, zbyt to łakoma rzecz.

— Może i słusznie mówicie — rzekła po chwili zastanowienia księżna, poczem dodała:

— Dawno mi nikt nie sprawił takiej uciechy, jak ów zacny opat, i tym podarkiem, i tem, że strach mój przed krzyżackiemi relikwiami uspokoił.

— Mądrze mówił i sprawiedliwie — ozwał się Maćko z Bogdańca. — Mieli oni i pod Wilnem rozmaite relikwie, a to tembardziej, że chcieli gości przekonać, iż z poganami wojna. No i co? Obaczyli nasi, że byle w garście splunąć, a od ucha toporem machnąć, to i hełm puszczał, i łeb puszczał. Święci pomagają — grzechby mówić inaczej — ale jeno sprawiedliwym, którzy według słuszności w imię Boże do bitwy idą. Tak też i myślę, miłościwa pani, że przyjdzie-li do wielkiej wojny, to chociażby wszystkie Niemcy pomagały Krzyżakom, zbijem ich na pował, bo większy jest nasz naród i Pan Jezus większą moc spuścił nam w kości. A co do relikwii, — albo to u nas w klasztorze Świętokrzyskim niema drzewa Krzyża Świętego?

— Prawda, jak mi jest Bóg miły — rzekła

księżna. — Ale u nas ono w klasztorze zostanie, a oni swoje ze sobą w potrzebie wożą.

— Wszystko jedno! dla mocy Bożej niema dalekości.

— Prawda-że to? powiadajcie, jak jest? — pytała księżna, zwracając się do mądrego Mikołaja z Długolasu, a on odrzekł:

— Temu i każdy biskup przyświadczy. Do Rzymu też daleko, a papież światem rządzi — cóże dopiero Bóg!

Słowa te uspokoiły do reszty księżnę, więc zwróciła rozmowę na Tyniec i jego wspaniałości. Dziwiła Mazurów wogóle nietylko zamożność opactwa, ale i zamożność, a także piękność całego kraju, przez który teraz przyjeżdżali. Naokół były wsie gęste, dostatnie, przy nich sady pełne drzew owocowych, gaje lipowe, bocianie gniazda na lipach, a niżej ule ze słomianemi nakrywkami. Wzdłuż gościńca z jednej i drugiej strony ciągnęły się łany zbóż wszelkich. Wiatr chwilami pochylał zielonawe jeszcze morze kłosów, wśród którego gęsto, jak gwiazdy na niebie, migotały głowy modrych chabrów i jasno-czerwonych maków. Daleko, za łanami czerniał gdzieniegdzie bór, gdzieniegdzie weseliły oczy dąbrowy i olszyńce, skąpane w blasku słonecznym, gdzieniegdzie wilgotne łąki, pełne traw i czajek, krążących nad mokradłami, i znów

wzgórza, obsiadłe przez chaty, znów łany: widocznie ziemię tę zamieszkiwał lud rojny i pracowity, rozmiłowany w roli — i dokąd wzrok sięgnął, kraj wydawał się nietylko mlekiem i miodem płynący, ale spokojny i szczęśliwy.

— Kazimierzowe to królewskie gospodarstwo — rzekła księżna — ale też żyć tu i nie umierać.

— I Pan Jezus się do takiej ziemi śmieje — odrzekł Mikołaj z Długolasu — i błogosławieństwo Boże jest nad nią; ale jakoż ma być inaczej, kiedy tu, gdy zaczną bić dzwony, to niemasz takowego kąta, do któregoby odgłos nie doszedł! Wiadomo przecie, że złe duchy, znieść tego nie mogąc, muszą aż na granicę węgierską do głuchych borów uciekać.

— To mi i dziwno — ozwała się pani Ofka, wdowa po Krystynie z Jarząbkowa — że Walgierz Wdały, o którym zakonnicy prawili, może się w Tyńcu pokazować, gdzie siedm razy na dzień dzwony biją.

Uwaga ta zakłopotała na chwilę Mikołaja, który też dopiero po pewnym namyśle odrzekł:

— Naprzód wyroki boskie są niezbadane, a powtóre to sobie zauważcie, że on osobne pozwoleństwo za każdym razem otrzymuje.

— A niech ta będzie, jak chce, alem rada, że w klasztorze nie nocujemy. Umarłabym chyba

ze strachu, gdyby mi się taki piekielny wielkolud pokazał.

— Hej! nie wiadomo, bo mówią, że okrutnie wdały.

— Choćby był i najurodziwszy, nie chcę ja pocałowania od takiego, któremu siarką z gęby bucha.

— A skąd wiecie, że zaraz chciałby was całować?

Na te słowa księżna, a za nią pan Mikołaj i obaj rycerze z Bogdańca poczęli się śmiać. Śmiała się, nie rozumiejąc dlaczego, za przykładem innych, i Danusia zaś Ofka z Jarząbkowa zwróciła zagniewaną twarz do Mikołaja z Długolasu i rzekła:

— Wolałabym jego, niż was.

— Ej, nie wywołujcie wilka z lasu, — odpowiedział wesoło Mazur — bo jędzon często i po gościńcu między Krakowem a Tyńcem się włóczy, a szczególniej pod wieczór: nuż was usłyszy i nuż się wam w postaci wielkoluda ukaże!

— Na psa urok! — odrzekła Ofka.

Lecz w tej chwili Maćko z Bogdańca, który, siedząc na wyniosłym ogierze, dalej mógł widzieć, niż ci, którzy siedzieli w kolasce, ściągnął lejce i rzekł:

— O, jak mi Bóg miły, a to co?

— Co takiego?

— Wielkolud jakowyś z za wzgórza przed nami wyjeżdża.

— A słowo stało się ciałem! — zawołała księżna. — Nie powiadajcie byle czego!

Lecz Zbyszko uniósł się na strzemionach i rzekł!

— Jako żywo — wielkolud, Walgierz, nikt inny!

Na to woźnica osadził ze strachu konie i, nie wypuszczając z rąk lejc, począł się żegnać, albowiem i on dojrzał już z kozła na przeciwległem wzgórzu olbrzymią postać jeźdźca.

Księżna podniosła się — i zaraz usiadła z twarzą zmienioną przez trwogę, Danusia pochowała głowę w fałdy sukni księżnej. Dworzanie, dworki i rybałci, którzy jechali konno za kolaską, usłyszawszy złowrogie imię, poczęli skupiać się koło niej. Mężowie niby śmiali się jeszcze, ale w oczach mieli niepokój; panny pobladły, jeno Mikołaj z Długolasu, który z niejednego pieca chleb jadał, zachował pogodne oblicze i, chcąc uspokoić księżnę, rzekł:

— Nie bójcie się, miłościwa pani. Toć słońce jeszcze nie zaszło, a choćby była i noc, święty Ptolomeusz da rady Walgierzowi.

Tymczasem nieznany jeździec, wjechawszy na podługowaty grzbiet wzgórza, zatrzymał konia i stanął nieruchomie. W promieniach zacho-

dzącego słońca widać go było doskonale i istotnie postać jego zdawała się przechodzić ogromem zwykłe ludzkie rozmiary. Przestrzeń między nim a orszakiem księżnej nie wynosiła więcej nad trzysta kroków.

— Czego on stoi? — rzekł jeden z rybałtów.

— Bo i my stoim — odpowiedział Maćko.

— Spogląda ku nam, jakby sobie kogo chciał wybrać — zauważył drugi rybałt; — żebym wiedział, że człowiek, a nie złe, tobym ku niemu podjechał i lutnią go przez łeb zwalił.

Kobiety przestraszyły się już całkiem i poczęły się głośno modlić, Zbyszko zaś, chcąc się popisać odwagą wobec księżnej i Danusi, rzekł:

— A ja i tak pojadę. Co mi tam Walgierz!

Na to Danusia poczęła wołać nawpół z płaczem: «Zbyszku! Zbyszku!», lecz on ruszył koniem i jechał coraz prędzej, ufny, że choćby i prawdziwego Walgierza znalazł, to na wskróś go kopią przebodzie.

A Maćko, który miał wzrok bystry, rzekł:

— Wydaje się wielkoludem, bo na wzgórzu stoi. Chłopisko jakieś duże, ale człek zwyczajny — nic innego. O wa! pojadę i ja, żeby do zwady między nim a Zbyszkiem nie dopuścić.

Zbyszko tymczasem, jadąc rysią, rozmyślał, czy odrazu kopię nastawić, czy też wpierw zblizka obaczyć, jak wygląda ów stojący na

wzgórzu człowiek. Postanowił jednak wpierw zobaczyć i zaraz przekonał się, że była to myśl lepsza, albowiem w miarę, jak się zbliżał, nieznajomy począł tracić w jego oczach swoje nadzwyczajne rozmiary. Mąż był ogromny i siedział na olbrzymim koniu, roślejszym jeszcze od Zbyszkowego ogiera, ale miary ludzkiej nie przechodził. Był nadto bez zbroi, w czapce aksamitnej na głowie, mającej kształt dzwona, i w białej płóciennej, osłaniającej od kurzu opończy, z pod której wyglądała zielona szata. Stojąc na wzgórzu, głowę miał wzniesioną i modlił się. Widocznie też zatrzymał konia dlatego, by skończyć wieczorne pacierze.

— Ej, co mi za Walgierz! — pomyślał młody chłopak.

Dojechał już tak blizko, że mógłby był dosięgnąć kopią nieznajomego; ów zaś, widząc przed sobą wspaniale uzbrojonego rycerza, uśmiechnął się do niego życzliwie i rzekł:

— Pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków.

— Zali to nie dwór księżnej mazowieckiej, tam w dole?

— Tak jest.

— To z Tyńca jedziecie?

Lecz na to nie było już odpowiedzi, albowiem Zbyszko zdumiał się tak, że nawet nie usłyszał

zapytania. Przez chwilę stał, jak skamieniały, oczom własnym nie wierząc, gdyż oto, na ćwierć stai za nieznanym mężem, ujrzał kilkunastu konnych żołnierzy, na czele których, ale znacznie naprzód, jechał rycerz, przybrany cały w świecącą zbroję, w biały sukienny płaszcz z czarnym krzyżem i w stalowy hełm z przepysznym pawim czubem w grzebieniu.

— Krzyżak! — szepnął Zbyszko.

I na ten widok pomyślał, że modlitwy jego zostały wysłuchane, że Bóg w miłosierdziu swojem zsyła mu takiego Niemca, o jakiego w Tyńcu prosił, że trzeba z łaski Boskiej korzystać, więc nie wahając się ani chwili, zanim to wszystko przemknęło mu przez głowę, zanim miał czas ochłonąć ze zdumienia, pochylił się w kulbace, złożył glewiję w pół końskiego ucha i wydawszy rodowy okrzyk: «Grady! Grady!» — ruszył co koń wyskoczy na Krzyżaka.

A tamten zdumiał się także, gdyż wstrzymał konia, i nie pochylając kopii, sterczącej w górę od strzemienia, patrzył przed siebie, jakby niepewny, czy w niego godzą.

— Pochyl kopię! — wrzeszczał Zbyszko, wbijając żelazne końce strzemion w koki końskie.

— Grady! Grady!

Przestrzeń, dzieląca ich, poczęła się zmniejszać. Krzyżak, widząc, że napad wymierzony

jest naprawdę ku niemu, ściągnął konia, nadstawił broń i już kopia Zbyszkowa miała się roztrzaskać o jego piersi, gdy naraz jakaś potężna dłoń przyłamała ją Zbyszkowi przy samem ręku, jak zeschłą trzcinę, potem taż sama dłoń ściągnęła cugle jego konia z tak straszliwą siłą, aż rumak zarył się wszystkiemi czterema nogami w ziemię i stanął, jak wkopany.

— Szalony człecze, co czynisz? — ozwał się głęboki groźny głos — w posła godzisz, króla znieważasz!

Zbyszko spojrzał i poznał tegoż samego olbrzymiego męża, który poczytan za Walgierza, przestraszył przed chwilą dworskie niewiasty księżnej.

— Puszczaj na Niemca! Coś za jeden? — zawołał, chwytając za rękojeść topora.

— Precz z toporem! na miły Bóg! precz z toporem, — mówię — bo z konia zwalę! — zawołał groźniej jeszcze nieznajomy. — Obraziłeś majestat króla i pod sąd pójdziesz.

Poczem zwrócił się ku ludziom, którzy jechali za Krzyżakiem, i krzyknął:

— Bywaj!

Ale tymczasem nadjechał Maćko z twarzą niespokojną i złowrogą. Rozumiał i on jasno, że Zbyszko postąpił jak szalony i że z tej sprawy zgubne dla niego mogą wyniknąć skutki, ale je-

dnak gotów był do bitki. Cały orszak nieznanego rycerza i Krzyżaka wynosił zaledwie piętnastu ludzi, uzbrojonych po części w dzidy, po części w kusze, dwóch więc całkiem pokrytych rycerzy mogło się z nimi potykać nie bez nadziei zwycięstwa. Myślał też Maćko, że jeżeliby w następstwie miał im zagrozić sąd, to może i lepiej uniknąć go, przejechawszy przez tych ludzi, a potem pochować się gdzie, póki burza nie przeminie. Więc twarz skurczyła mu się zaraz, jak paszcza wilka gotowego kąsać, i wsparłszy konia między Zbyszka a nieznajomego męża, począł pytać, imając się jednocześnie miecza:

— Coście za jedni? skąd wasze prawo?

— Prawo moje stąd, — odparł nieznajomy — że król mi nad przezpieczeństwem okolicy czuwać rozkazał, a zowią mnie Powała z Taczewa.

Na te słowa Maćko i Zbyszko spojrzeli na rycerza, a następnie pochowali nawpół już wyciągniętą broń do pochew i pospuszczali głowy. Nie strach ich obleciał, ale pochylili czoła przed głośnem i dobrze sobie znanem nazwiskiem, albowiem Powała z Taczewa, szlachcic znakomitego rodu i pan możny, posiadający liczne ziemie wedle Radomia, był zarazem jednym z najsławniejszych rycerzy w królestwie. Rybałci opiewali go w pieśniach, jako wzór honoru i męstwa, sławiąc jego imię na równi z imieniem

Zawiszy z Garbowa, i Farureja, i Skarbka z Góry, i Dobka z Oleśnicy, i Jaśka Naszana, i Mikołaja z Moskorzewa, i Zyndrama z Maszkowic. W tej chwili przedstawiał on przytem poniekąd osobę królewską, więc porwać się na niego znaczyło tyle, ile oddać głowę pod topór kata.

Maćko też, ochłonąwszy, ozwał się pełnym poszanowania głosem:

— Cześć i pokłon wam, panie, waszej sławie i męstwu.

— Pokłon i wam, panie, — odpowiedział Powała — choć wolałbym nie w tak ciężkiej przygodzie uczynić z wami znajomość.

— Czemu to? — spytał Maćko.

A Powała zwrócił się do Zbyszka:

— Cóżeś ty, młodzieniaszku, najlepszego uczynił? Na publicznym gościńcu, pod bokiem królewskim porwałeś się na posła! Zali wiesz, coć za to czeka?

— Porwał się na posła, bo młody i głupi, przeto o uczynek łatwiej mu, niż o zastanowienie, — rzekł Maćko. — Ale nie osądzicie go surowie, gdy całą sprawę rozpowiem.

— Nie ja go będę sądził. Moja rzecz jeno więzy mu nałożyć...

— Jakże-to? — ozwał się Maćko, obrzuca-

jąc znów ponurem wejrzeniem całą gromadę ludzi.

— Wedle królewskiego rozkazania.

Po tych słowach zapadło milczenie.

— Szlachcic jest — rzekł wreszcie Maćko.

— To niech zaprzysięże na rycerską cześć, że stawi się na wszelki sąd.

— Poprzysięgnę na cześć! — zawołał Zbyszko.

— To dobrze. Jakoże was zowią?

Maćko wymienił nazwisko i herb.

— Jeśliście z dworu księżny Januszowej, to proście jej, by się wstawiła za wami do króla.

— Nie z dworu jesteśmy. Z Litwy od księcia Witolda jedziem. Bogdajeśmy byli nijakiego dworu nie napotkali! Z tego to spotkania przyszło na chłopa nieszczęście.

I tu Maćko począł opowiadać, co się zdarzyło w gospodzie, więc mówił o spotkaniu dworu księżny i o ślubowaniu Zbyszkowem, ale w końcu chwycił go nagły gniew na Zbyszka, przez którego nierozwagę popadli w tak ciężkie położenie, więc, zwróciwszy się do niego, zawołał:

— A bodajeś ty był legł pod Wilnem! Cóżeś ty sobie, warchlaku, myślał?

— Ba, — rzekł Zbyszko — po ślubowaniu modliłem się do Pana Jezusa, by mi Niemców przysporzył, i dań mu obiecałem, więc gdym

pawie pióra, a przy nich opończę z czarnym krzyżem ujrzał, zaraz jakowyś głos zawołał we mnie: «Bij w Niemca, bo to cud!». No — i skoczyłem — ktoby był nie skoczył?

— Słuchajcie, — przerwał Powała. — Nie życzę ja wam złego, bo to widzę jasno, że ów młodzianek więcej przez płochość przyrodzoną wiekowi, ni źli przez złość zawinił. Radbym też zgoła na jego uczynek nie baczyć i pojechać sobie dalej, jakoby się nic nie stało. Ale mógłbym to tylko w takim razie uczynić, gdyby ów komtur obiecał, że się królowi nie poskarży. Proście go o to: może i jemu żal się uczyni wyrostka.

— Wolej pójdę pod sąd, niźlibym się miał Krzyżakowi pokłonić! — zawołał Zbyszko. — Nie przystoi to mojej czci szlacheckiej.

Na to Powała z Taczewa spojrzał na niego surowo i rzekł:

— Źle czynisz. Lepiej od ciebie starsi wiedzą, co przystoi, a co nie przystoi czci rycerskiej. O mnie też ludzie słyszeli, a to ci powiadam, że gdybym taki uczynek popełnił, nie sromałbym się o darowanie winy prosić.

Zbyszko zawstydził się, ale rzuciwszy wokół oczyma, odrzekł:

— Tu ziemia równa, byle ją trochę udeptać. Niźli Niemca przepraszać, wolejbym się z nim

potykał konną, albo pieszą, na śmierć, albo niewolą.

— Głupiś! — przerwał Maćko. — Jakże to z posłem będziesz się potykał? Ni tobie z nim, ni jemu z takim chłystkiem!

Tu zwrócił się do Powały:

— Wybaczcie, szlachetny panie. Do reszty rozwydrzyło mi się chłopisko przez wojnę, ale lepiej niech do Niemca nie gada, bo jeszczeby go zwymyślał. Ja będę gadał, ja będę prosił, a jeśliby po skończonem posłowaniu chciał się ów komtur w ogrodzieńcu samowtór potykać, to i ja mu stanę.

— Wielkiego rodu to jest rycerz, który nie każdemu stanie — odrzekł Powała.

— Jakże? Albo to ja pasa i ostróg nie noszę? Mnie choćby i książę może stanąć.

— Prawda jest, ale mu o tem nie mówcie, chybaby sam wspomniał, bo się boję, żeby się na was nie zawziął. No, niech was tam Bóg wspomaga!

— Pójdę za cię oczyma świecić — rzekł do Zbyszka Maćko — ale poczekaj!

I to rzekłszy, zbliżył się do Krzyżaka, który, zatrzymawszy się o kilka kroków, siedział nieruchomie na swym ogromnym, jak wielbłąd, koniu, podobny do odlanego z żelaza posągu i słuchał z największą obojętnością poprzedniej roz-

mowy. Maćko podczas długich lat wojny nauczył się nieco po niemiecku, więc począł teraz tłómaczyć komturowi w jego rodowitym języku, co się stało, składać winę na młody wiek i porywczy umysł chłopca, któremu wydało się, że to sam Bóg zesłał mu rycerza z pawim czubem, a wreszcie prosić o darowanie Zbyszkowi winy.

A twarz komtura ani drgnęła. Sztywny i wyprostowany, z podniesioną głową, spoglądał na mówiącego Maćka swemi stalowemi oczyma tak obojętnie, a zarazem i pogardliwie, jakby spoglądał nie na rycerza i nawet nie na człowieka, ale na kołek w płocie. Włodyka z Bogdańca dostrzegł to i lubo słowa jego nie przestały być dworne, dusza poczęła się w nim widocznie burzyć; mówił z coraz większym przymusem, a na ogorzałych policzkach pokazały się mu rumieńce. Widocznem było, że wobec tej zimnej pychy walczył ze sobą, by nie zazgrzytać zębami i nie wybuchnąć okropnie.

Powała zaś spostrzegł to i, mając dobre serce, postanowił mu przyjść w pomoc. I on, szukając za młodych lat na dworach węgierskim, rakuskim, burgundzkim i czeskim różnych rycerskich przygód, które szeroko rozsławiły jego imię, wyuczył się był po niemiecku, więc teraz

ozwał się w tym języku do Maćka głosem pojednawczym i umyślnie żartobliwym:

— Widzicie panie, że szlachetny komtur mniema, że cała sprawa nawet i słowa jednego nie warta. Nietylko w naszem królestwie, ale i wszędzie wyrostkowie bywają niespełna rozumu, ale taki rycerz z dziećmi nie wojuje, ni mieczem ni prawem.

Na to Lichtenstein wydął swe płowe wąsy i nie rzekłszy ani słowa, ruszył koniem przed siebie, pomijając Maćka i Zbyszka.

A im gniew szalony począł podnosić włosy pod hełmami, a ręce drżały im ku mieczom.

— Czekaj krzyżacka mać — mówił przez zaciśnięte zęby starszy rycerz z Bogdańca — teraz ja ci będę ślubował i znajdę cię, byleś posłować przestał.

Lecz Powała, któremu serce poczęło również zapływać krwią, rzekł:

— To potem. Niech teraz księżna przemówi za wami, bo inaczej gorze chłopcu.

To rzekłszy, pojechał za Krzyżakiem, zatrzymał go i przez czas jakiś rozmawiali z ożywieniem. I Maćko i Zbyszko zauważyli, że rycerz niemiecki nie spoglądał jednakże na Powałę z twarzą tak dumną, jak na nich, a to ich do większej jeszcze złości przywiodło. Po chwili

Powała zawrócił ku nim i poczekawszy chwilę, by się Krzyżak oddalił, rzekł im:

— Mówiłem za wami, ale to nieużyty człek. Powiada, że tylko w takim razie się nie poskarży, jeśli uczynicie to, czego będzie chciał...

— Czego chce?

— Powiedział tak: «Ja zatrzymam się, by księżnę mazowiecką powitać; niech (prawi) nadjadą, niech zlazą z koni, niech zdejmą hełmy i z ziemi, z gołemi głowami mnie proszą».

Tu spojrzał Powała bystro na Zbyszka i dodał:

— Ciężko to ludziom szlachetnego rodu... rozumiem, — ale muszę cię przestrzedz, że jeśli tego nie uczynisz, kto wie, co cię czeka: może katowski miecz.

Twarze Maćka i Zbyszka uczyniły się jakby kamienne. Nastało znów milczenie.

— No i co? spytał Powała.

A Zbyszko odrzekł spokojnie i z taką powagą, jakby mu przez tę jedną chwilę dwadzieścia lat przybyło.

— A cóż! Moc Boska nad ludźmi!

— Jakto?

— Tak, że chociażbym miał dwie głowy i choćby mi kat obiedwie miał uciąć, jedną mam cześć, której mi pohańbić nie wolno.

Na to spoważniał Powała i, zwróciwszy się do Maćka, spytał jeszcze:

— A wy co powiadacie?

— Ja powiadam — odrzekł posępnie Maćko — żem tego chłopa od małości wypiastował... Na nim też stoi nasz ród, bom stary ale tego on uczynić nie może, choćby miał sczeznąć.

Tu sroga twarz poczęła mu drgać i nagle miłość do bratanka wybuchnęła w nim z taką siłą, że chwycił go w swoje okute żelazem ręce i począł wołać:

— Zbyszku! Zbyszku!...

A młody rycerz aż zadziwił się i, oddawszy stryjcowi uścisk, rzekł:

— Aj! tom nie wiedział, że mnie tak miłujecie!...

— Widzę, żeście prawi rycerze, — rzekł wzruszony Powała; — a skoro młody przysiągł mi na cześć, że się stawi, to go nie będę więził; takim, jak wy, ludziom można zaufać. Bądźcie też dobrej myśli. Niemiec w Tyńcu z dzionek zabawi, więc ja króla prędzej obaczę i tak mu sprawę opowiem, żeby go jak najmniej rozsierdzić. Szczęście, żem zdążył kopię przyłamać, wielkie szczęście!

Lecz Zbyszko rzekł:

— Jeśli już koniecznie mam głowę dać, to niechbym miał przynajmniej tę uciechę, żem Krzyżakowi gnaty połamał.

— Że też to swojej czci potrafisz bronić,

a tego nie rozumiesz, że na cały nasz naród hańbębyś ściągnął! — odparł niecierpliwie Powała.

— Rozumieć, to ja rozumiem — rzekł Zbyszko — ale dlatego mi i żal...

Powała zaś zwrócił się do Maćka:

— Wiecie panie, jeśli temu wyrostkowi uda się jakowym sposobem wykręcić, powinniście mu kaptur na głowę założyć, jako czynią sokolom. Inaczej nie skończy on własną śmiercią.

— Udałoby się mu wykręcić, gdybyście wy, panie, chcieli zataić przed królem to, co się przygodziło.

— A z Niemcem cóż uczynim? Języka mu przecież na węzeł nie zawiążę.

— Prawda! Prawda!...

Tak rozmawiając, ruszyli z powrotem ku dworowi księżny. Słudzy Powały, którzy przedtem pomieszani byli z ludźmi Lichtensteina, jechali teraz za nimi. Zdaleka widać było wśród mazowieckich czapek chwiejące się w powiewie pawie pióra Krzyżaka i jego jasny, świecący w słońcu hełm.

— Dziwna to jest natura krzyżacka, – ozwał się jakby w zamyśleniu rycerz z Taczewa. — Gdy z Krzyżakiem źle, będzie ci wyrozumiały, jak Franciszkanin, pokorny, jak jagnię, i słodki, jako miód, tak, że lepszego na świecie nie znajdzie. Ale niech jeno poczuje za sobą moc,

nikt ci się więcej nie napuszy i u nikogo nie znajdziesz mniej zmiłowania. Widać Pan Jezus dał im krzemienie zamiast serc. Przypatrywałem ja się przeróżnym narodom i nieraz widziałem, jako prawy rycerz oszczędzi drugiego, który jest słabszy, mówiąc sobie: «Nie przybędzie mi czci, skoro leżącego potratuję». A Krzyżak wtedy właśnie najzawziętszy. Dzierż-że go za łeb i nie puszczaj, bo inaczej gorze ci! Oto i ów poseł! — zaraz chciał nietylko waszego przeproszenia, ale i waszej hańby. Ale rad jestem, że tego nie będzie.

— Niedoczekanie jego! — zawołał Zbyszko.

— Miarkujcie też, żeby frasunku po was nie poznał, bo zarazby się ucieszył.

Po tych słowach dojechali do orszaku i połączyli się z dworem księżny. Poseł krzyżacki, ujrzawszy ich, przybrał natychmiast wyraz pychy i wzgardy, lecz oni zdawali się go wcale nie widzieć. Zbyszko stanął od strony Danusi i jął wesoło mówić jej, że ze wzgórza widać już dobrze Kraków. Maćko zaś opowiadał jednemu z rybałtów o nadzwyczajnej sile pana z Taczewa, który przyłamał kopię w ręku Zbyszka, jak suchy badyl.

— A po co-że ją przyłomił? — spytał rybałt.

— Bo się chłopak do Niemca złożył, ale jeno dla śmiechu.

Rybałtowi, który był szlachcic i człek obyty, nie wydał się taki żart zbyt przystojnym, ale widząc, że Maćko mówi o nim lekko, nie brał go także do serca. Tymczasem Niemca poczęło takie zachowanie się korcić. Raz i drugi spojrzał na Zbyszka, potem na Maćka; wreszcie zrozumiał, że z koni nie zsiędą i że umyślnie na niego nie zważają. Wówczas błysnęło mu coś w oczach, jakby stalą — i zaraz począł się żegnać...

W chwili zaś, gdy ruszył, pan z Taczewa nie mógł się powstrzymać i rzekł mu na rozstaniu:

— Jedźcie śmiele, mężny ryczerzu. Kraj to spokojny i nikt na was nie napadnie, chyba jakowy dzieciak krotofilny...

— Choć dziwne są obyczaje w tym kraju, nie obrony, ale towarzystwa waszego szukałem — odparł Lichtenstein; — jakoż tuszę, że się jeszcze spotkamy i na tutejszym dworze, i gdzieindziej...

W ostatnich słowach brzmiała jakby ukryta groźba, dlatego Powała odrzekł poważnie:

— Bóg to da...

To powiedziawszy, skłonił się i odwrócił, poczem wzruszył ramionami i rzekł półgłosem, tak jednak, aby go najbliżsi słyszeli.

— Chuchraku! zdjąłbym cię z kulbaki ostrzem

kopii i przez trzy pacierze dzierżył w powietrzu!

I począł rozmawiać z księżną, którą znał dobrze. Anna Danuta pytała go, co robi na gościńcu, on zaś oznajmił jej, że jeździ z królewskiego rozkazania, by utrzymać bezpieczeństwo w okolicy, w której z powodu wielkiej liczby gości, ściągających zewsząd do Krakowa, łatwo jakowaś zwada zdarzyć się może. I na dowód przytoczył to, czego przed chwilą sam był świadkiem. Pomyślawszy jednak, że o orędownictwo księżny za Zbyszkiem dość będzie czasu prosić wówczas, gdy okaże się tego potrzeba, nie nadawał zajściu zbyt wielkiego znaczenia, nie chcąc psuć wesołości. Jakoż księżna śmiała się nawet ze Zbyszka, że mu tak pilno było do pawich czubów, inni zaś, dowiedziawszy się o przyłamaniu kopii, podziwiali pana z Taczewa, że tak łatwo to jedną ręką uczynił...

On zaś, chełpliwym nieco będąc, cieszył się w sercu, że go sławią, i sam wreszcie począł opowiadać o swoich czynach, które głośnem uczyniły imię jego szczególniej w Burgundyi na dworze Filipa Śmiałego. Raz on tam w czasie turnieju chwycił, po skruszeniu kopii, pewnego rycerza ardeńskiego w pół, wywlókł go z kulbaki i wyrzucił na wysokość kopii w górę, chociaż Ardeńczyk cały był w żelazo zakuty. Filip

Śmiały ofiarował mu za to złoty łańcuch, a księżna aksamitny trzewiczek, który on odtąd na helmie nosi.

Słysząc to, wszyscy wpadli w wielkie zdumienie, z wyjątkiem Mikołaja z Długolasu, który rzekł:

— Niema już w dzisiejszych zniewieściałych czasach takich mężów, jacy bywali za mojej młodości, albo takich, o jakich ojciec mój mi opowiadał. Zdarzy się teraz szlachcicowi rozedrzeć pancerz, naciągnąć kuszę bez korby, albo skręcić między palcami tasak żelazny, to się już mocarzem powiada i nad innych się wynosi. A drzewiej czyniły to i dziewki...

— Nie przeciwię ja się temu, że dawniej byli ludzie tęższi, — odpowiedział Powała — ale znajdą się i dziś chłopy krzepkie. Mnie Pan Jezus siły w kościach nie poskąpił, wszelako nie powiadam się najmocniejszym w tem królestwie. Widziałeś waść kiedy Zawiszę z Garbowa? Tenby mnie zmógł.

— Widziałem. Bary u niego tak szerokie, jak wał od krakowskiego dzwonu.

— A Dobko z Oleśnicy? Raz on na turnieju, który Krzyżacy w Toruniu wyprawili, rozciągnął dwunastu rycerzy z wielką chwałą dla siebie i dla naszego narodu...

— Ale nasz, Mazur, Staszko Ciołek tęższy

był, panie, i od was, i od Zawiszy, i od Dobka. Powiadali o nim, że wziąwszy w garść świeży kolek, sok z niego wyciskał [1]).

— Sok ja też wycisnę! — zawołał Zbyszko.

I nim go kto poprosił o próbę, skoczył na brzeg drogi, udarł sporą gałąź z drzewa, a następnie ścisnął ją za koniec w oczach księżny i Danusi tak silnie, że sok począł istotnie kapać kroplami na drogę.

— Aj, Jezu! — zawołała na ten widok Ofka z Jarząbkowa — nie chadzajże na wojnę, bo szkodaby była, żeby taki zginął przed ożenkiem...

— Szkodaby! — powtórzył, zasępiwszy się nagle, Maćko.

Lecz Mikołaj z Długolasu począł się śmiać, a z nim i księżna. Inni wszelako wychwalali w głos siłę Zbyszkową, że zaś w owych czasach żelazną rękę ceniono nad wszystkie inne przymioty, więc panny wołały na Danuśkę: «Raduj się!» — ona zaś rada była, chociaż nie rozumiała dobrze, co jej przyjść może z tego kawałka wyciśniętego drzewa. Zbyszko, zapomniawszy całkiem o Krzyżaku, spoglądał tak górnie, iż Mikołaj z Długolasu, pragnąc przywieść go do pomiarkowania, rzekł:

— Próżnobyś puszył siłą, bo są lepsi od cie-

[1]) Historyczne.

bie. Jam tego nie widział, ale ojciec mój był świadkiem czegoś lepszego, co przygodziło się na dworze Karola, cesarza rzymskiego. Pojechał do niego w odwiedziny nasz król Kazimierz, z wielu dworzany, między którymi był właśnie i ów slynny z mocy Staszko Ciołek, syn wojewody Andrzeja. Pocznie się tedy raz chełpić cesarz, że ma między swoimi ludźmi pewnego Czecha, który niedźwiedzia wpół obłapiwszy, na miejscu go udusi. Dopieroż wyprawili widowisko i Czech dwóch niedźwiedzi po kolei udusił. Bardzo się tem zafrasował nasz król, żeby ze wstydem nie odjechać, i rzeknie: «Ale mój Ciołek nie da mu się pohańbić». Naznaczyli, że za trzy dni będą się zmagać. Nazjeżdżało się pań i rycerzy znacznych, a po trzech dniach chycili się Czech z Ciołkiem na zamkowem dworzyszczu: ale niedługo tego było, bo ledwie się objęli, przełomił Ciołek Czechowi krzyż, pokruszył wszystkie żebra i dopiero nieżywego, z wielką chwałą królewską, z rąk wypuścił [1]). Tenże, przezwan od tej pory Łomignatem, raz dzwon wielki na wieżę sam jeden zaniósł, którego dwudziestu mieszczan z miejsca ruszyć nie mogło [1]).

— A ile mu było roków — pytał Zbyszko.

— Młody był!

---

[1]) Historyczne.

Tymczasem Powała z Taczewa, jadąc po prawej stronie przy księżnej, pochylił się wreszcie do jej ucha i powiedział całą prawdę o ważności przygody, a zarazem prosił ją, by go poparła, gdy się będzie wstawiał za Zbyszkiem, który ciężko może za swój postępek odpowiadać. Księżna, której się Zbyszko podobał, przyjęła tę wiadomość ze smutkiem i zaniepokoiła się bardzo.

— Biskup krakowski rad mnie widzi — rzekł Powała — to może go uproszę i królowę też, ale im więcej będzie orędowników, tem będzie dla młodziaszka lepiej...

— Byle królowa za nim się ujęła, włos mu z głowy nie spadnie — rzekła Anna Danuta — bo król ją i za świątobliwość i za wiano czci wielce, a szczególniej teraz, gdy zdjęta jest z niej hańba bezpłodności. Ale, jest przecie w Krakowie umiłowana siostra królewska, księżna Ziemowitowa— do niej się udajcie. Ja też uczynię, co będę mogła, ale ona mu rodzona, a ja stryjeczna.

— Kocha król i was, miłościwa pani.

— Ej, nie tak — odrzekła z pewnym smutkiem księżna — dla mnie ogniwko, dla niej cały łańcuch; dla mnie liszka, dla niej soból. Nikogo z rodzonych nie miłuje król tak, jak Alexandrę. Niema takiego dnia, żeby z próżnemi rękoma odeszła...

Tak rozmawiając, zbliżyli się do Krakowa. Gościniec, rojny od samego Tyńca, zaroił się jeszcze bardziej. Spotykali ziemian, ciągnących do miasta, na czele pachołków, czasem w zbrojach, czasem w letnich szatach i słomianych kapeluszach. Niektórzy jechali konno, niektórzy koleśno, z żonami i córkami, które chciały widzieć zapowiedziane zdawna gonitwy. Miejscami cały gościniec zawalony był przez wozy kupców, którym nie wolno było omijać Krakowa, by nie pozbawiać miasta licznych opłat. Wieziono na tych wozach sól, wosk, zboża, ryby, skóry bydlęce, konopie, drzewo. Inne szły z miasta, ładowne suknem, beczkami piwa i przeróżnym miejskim towarem. Kraków było już widać dobrze: ogrody królewskie, pańskie i mieszczańskie, otaczające zewsząd miasto, za nimi mury i wieże kościołów. Im było bliżej, tem ruch czynił się większy, a przy bramach trudno było wśród ogólnego skrzętu przejechać.

— To miasto! niemasz chyba takiego drugiego na świecie — rzekł Maćko...

— Zawsze jakoby jarmark — odrzekł jeden z rybałtów. — Dawnoście tu byli, panie?

— Dawno. I dziwuję się, jakobym je pierwszy raz widział, gdyż z dzikich krajów przyjeżdżamy.

— Mówią, że Kraków okrutnie urósł od króla Jagielły.

Była to prawda: od czasu wstąpienia na tron wielkiego księcia Litwy niezmierzone kraje litewskie i ruskie otwarte zostały dla krakowskiego handlu, wskutek czego miasto z dnia na dzień porastało w ludność, w dostatki, w budowle — i czyniło się jednem ze znaczniejszych w świecie...

— Krzyżackie miasta też zacne — ozwał się znów gruby rybałt.

— By jeno się do nich dostać — odpowiedział Maćko. — Byłby łup godny!

Lecz Powała myślał o czem innem, mianowicie, że młody Zbyszko, który tylko przez głupią zapalczywość zawinił, idzie jednak jak wilkowi w gardziel. Pan z Taczewa, srogi i zawzięty w czasie wojny, miał jednak w swych potężnych piersiach prawdziwie gołębie serce, że zaś lepiej rozumiał od innych, co winowajcę czeka, więc zdjęła go nad nim litość...

— Waguję się i waguję — rzekł znów do księżny — czy mówić królowi, co się stało, czy nie mówić. Jeśli Krzyżak się nie poskarży, to i nijakiej sprawy nie będzie, ale jeśli się ma skarżyć, to możeby lepiej wszystko pierwej powiedzieć, by pan nagłym gniewem nie zagorzał...

— Krzyżak jak może kogo zgubić, to zgubi — odrzekła księżna — ale ja przedtem rzekę mło-

dzieńcowi, żeby do naszego dworu przystał. Może też król nie tak srodze dworzanina naszego ukarze...

To rzekłszy, zawolała Zbyszka, który dowiedziawszy się o co idzie, zeskoczył z konia, podjął ją pod nogi i z największą radością zgodził się być jej dworzaninem, nietyle dla większego bezpieczeństwa, ile dlatego, że w ten sposób mógł blizko Danusi pozostać...

Powała zaś spytał tymczasem Maćka:

— A gdzie zamieszkacie?

— W gospodzie.

— W gospodach zdawna niemasz żadnego miejsca.

— To pójdziem do kupca znajomka, Amyleja, może nas przenocuje...

— A ja wam powiem tak: pójdźcie w gościnę do mnie. Bratanek wasz mógłby z dworzany księżny na Zamku zamieszkać, ale lepiej mu będzie nie być królowi pod ręką. Co się w pierwszym gniewie uczyni, tego się w drugim nie uczyni. Pewnie się przytem rozdzielicie dostatkiem, wozami i służbą, a na to potrzeba czasu. Wiecie! — dobrze wam u mnie będzie i przezpiecznie...

Maćko, lubo zaniepokoił się trochę tem, że Powała tak o ich bezpieczeństwie myśli, podziękował z wielką wdzięcznością i wjechali do

miasta. Lecz tu obaj ze Zbyszkiem zapomnieli znów na chwilę o troskach na widok cudów, które ich otoczyły. Na Litwie i na pograniczu widzieli tylko pojedyncze zamki, a z miast znaczniejszych jedno Wilno, źle pobudowane i spalone, całe w popiele i gruzach, tu zaś kamienice kupieckie częstokroć okazalsze były od tamtejszego wielko-książęcego zamku. Wiele domów było wprawdzie drewnianych, ale i te dziwiły wyniosłością ścian i dachów, oraz oknami ze szklanych gomółek, pooprawianych w ołów, które odbijały tak blaski zachodzącego słońca, że można było mniemać, iż w domu jest pożar. W ulicach bliższych rynku pełno było jednak dworzyszcz z czerwonej cegły albo zgoła kamiennych, wysokich, ozdobionych przystawkami i czarnem krzyżowaniem po ścianach. Stały jedne obok drugich, jak żołnierze w szyku, niektóre szerokie, drugie wązkie na dziewięć łokci, ale strzeliste, ze sklepionemi sieniami, często ze znakiem Bożej Męki lub z obrazem Najświętszej Panny nad bramą. Były ulice, na których widać było dwa szeregi domów, nad nimi pas nieba, na dole drogę całkiem wymoszczoną kamieniami, a po obu bokach, jak okiem dojrzeć składy i składy, sowite, pełne najprzedniejszych, częstokroć dziwnych albo zupełnie nieznanych towarów, na które przy-

wykły do ciągłej wojny i brania łupu Maćko spoglądał jednak nieco łakomem okiem. Lecz w jeszcze większy podziw wprowadziły obydwóch gmachy publiczne: kościół Panny Maryi w rynku, Sukiennice, ratusz z olbrzymią piwnicą, w której sprzedawano piwo świdnickie, dzinghus, toż inne kościoły, toż składy sukna, toż ogromne «mercatorium», przeznaczone dla kupców zagranicznych, toż budynek, w którym zamykano wagę miejską, toż postrzygalnie, łaźnie, topnie miedzi, topnie wosku, złota i srebra, browary, całe góry beczek koło tak zwanego Schrotamtu — słowem dostatki i bogactwa, których nieobyty z miastem człowiek, choćby zamożny właściciel «gródku», wyobrazić sobie nawet nie umiał...

Powała zaprowadził Maćka i Zbyszka do swego domostwa przy ulicy św. Anny, kazał im dać izbę obszerną, polecił ich swym giermkom, sam zaś udał się na zamek, z którego wrócił na wieczerzę dość późną nocą. Wraz z nim przybyło kilku jego przyjaciół i używając obficie na winie i mięsie, ucztowali wesoło, sam tylko gospodarz był jakiś zatroskany, a gdy wreszcie goście porozchodzili się do domów, rzekł do Maćka:

— Gadałem z jednym kanonikiem, biegłym w piśmie i w prawie, któren powiada, że znie-

waga posła to sprawa gardłowa. Proścież tedy Boga, by się Krzyżak nie skarżył...

Usłyszawszy to, obaj rycerze, lubo przy uczcie przebrali nieco miarę, jednakże udali się na spoczynek nie z tak już wesołem sercem. Maćko nie mógł nawet zasnąć i po niejakim czasie, gdy się już pokładli, ozwał się do bratańca:

— Zbyszku?

— A co?

— Bo, tak pomiarkowawszy wszystko, myślę wszelako, że ci głowę utną.

— Myślicie? — spytał Zbyszko sennym głosem.

I obróciwszy się do ściany, zasnął smaczno, gdyż był utrudzon drogą...

Następnego dnia obaj rycerze z Bogdańca, wraz z Powałą, udali się na ranną mszę do katedry, tak dla nabożeństwa, jak i dlatego, by widzieć dwór i gości, którzy schodzili się na zamek. Jakoż po drodze już Powała spotkał mnóstwo znajomych, a między nimi wielu rycerzy sławnych w kraju i za granicą, na których z podziwem patrzył młody Zbyszko, obiecując sobie w duszy, że jeśli sprawa z Lichtensteinem ujdzie mu na sucho, to będzie się starał im wyrównać w męstwie i we wszystkich cnotach. Jeden z tych rycerzy, Toporczyk, krewny

kasztelana krakowskiego, powiedział im nowinę o powrocie z Rzymu Wojciecha Jastrzębca, scholastyka, który jeździł do papieża Bonifacego IX z listem królewskim, zapraszającym na chrzciny do Krakowa. Bonifacy przyjął zaproszeniny, a jakkolwiek wyraził wątpliwość, czy będzie mógł przybyć własną osobą, upoważnił posła, aby w jego imieniu trzymał do chrztu mające się narodzić dziecię, a zarazem prosił, by w dowód osobliwszej jego miłości dla obojga królestwa dziecku nadano imię Bonifacy lub Bonifacya.

Mówiono także o blizkim przyjeździe króla węgierskiego, Zygmunta i spodziewano się go napewno. Zygmunt bowiem przyjeżdżał i proszony i nie proszony, zawsze, gdy zdarzyła się sposobność jakowychś odwiedzin, uczt i gonitw, w których z zamiłowaniem brał udział, pragnąc zasłynąć po świecie i jako władca, i jako śpiewak, i jako jeden z pierwszych rycerzy. Powała, Zawisza z Garbowa, Dobko z Oleśnicy, Naszan i inni podobnej miary mężowie z uśmiechem wspominali sobie, jako za poprzednich bytności Zygmunta król Władysław prosił ich po cichu, aby na turnieju nie nacierali zbyt ostro i oszczędzali «węgierskiego gościa», którego znana w świecie próżność była tak wielka, że w razie niepowodzenia wyciskała mu łzy

z oczu. Lecz największe zajęcie między rycerstwem budziły sprawy Witoldowe. Rozpowiadano cuda o wspaniałości owej kolebki, ulanej ze szczerego srebra, którą od Witolda i żony jego Anny przywieźli w darze kniazie i bojarzyni litewscy. Potworzyły się, jako zwykle przed nabożeństwem, gromadki ludzi, opowiadające sobie nowiny. W jednej z nich Maćko, posłyszawszy o kolebce, zabrał głos i opisywał kosztowność daru, ale więcej jeszcze opowiadał o zamierzonej ogromnej wyprawie Witolda przeciw Tatarom, gdyż zarzucano go o nią pytaniami. Wyprawa była prawie gotowa, albowiem ogromne wojska ruszyły już na wschód Rusi, gdyby się zaś udała, rozciągnęłaby zwierzchnictwo króla Jagiełły niemal na pół świata, aż do nieznanych głębin azyatyckich, po granice Persyi i brzegi Aralu. Maćko, który poprzednio był blizko osoby Witolda i mógł znać jego zamiary, umiał o nich rozpowiadać dokładnie, a nawet i tak wymownie, że zanim zadzwoniono na mszę, przed wschodami katedry utworzył się naokół niego krąg ciekawych. — Szło — mówił — poprostu o wyprawę krzyżową. Sam Witold, chociaż go piszą wielkim kniaziem, rządzi przecie Litwą z ramienia Jagiełły i jest tylko wielkorządcą, zasługa więc spadnie na króla. I co za chwała będzie dla nowoochrzczonej Litwy

i dla potęgi Polski, gdy połączone wojska poniosą Krzyż w takie strony, w których, jeśli wspominają imię Zbawiciela, to chyba, by mu bluźnić, i w których nie postała dotąd noga Polaka, ni Litwina! Wypędzony Tochtamysz, gdy go polskie i litewskie wojska posadzą nanowo na utraconym kapczackim tronie, uzna się «synem» króla Władysława i, jako obiecał, wraz z całą Złotą Ordą pokłoni się Krzyżowi.

Słuchano z natężeniem tych słów, lecz wielu nie wiedziało dobrze, o co chodzi, komu Witold ma pomagać, przeciw komu wojować, więc niektórzy poczęli pytać:

— Powiadajcie wyraźnie, z kim wojna?

— Z kim? Z Tymurem Chromym — odrzekł Maćko.

Nastała chwila milczenia. O uszy rycerstwa zachodniego odbijały się wprawdzie niejednokrotnie nazwy Ord Złotych, Sinych, Azowskich i rozmaitych innych, ale sprawy tatarskie i wojny domowe między pojedynczemi ordami nie były mu dobrze wiadome. Natomiast nie znalazłbyś ani jednego człowieka w ówczesnej Europie, któryby nie słyszał o straszliwym Tymurze Chromym, czyli Tamerlanie, którego imię powtarzano z niemniejszą trwogą, niż niegdyś imię Atylli. Był to przecie «pan świata« i «pan czasów», władca dwudziestu siedmiu zawojowa-

nych państw, władca Rusi Moskiewskiej, władca Sybiru, Chin po Indye, Bagdadu, Ispahanu, Alepu, Damaszku — którego cień padał przez piaski arabskie na Egipt, a przez Bosfor na cesarstwo Greckie, — tępiciel ludzkiego rodzaju, potworny budowniczy piramid z czaszek ludzkich, zwycięzca we wszystkich bitwach, niezwyciężony w żadnej «pan dusz i ciał».

Tochtamysz przez niego posadzon jest na tronie Złotej i Sinej Ordy — i uznan «synem». Lecz gdy władztwo jego rozciągnęło się od Uralu do Krymu przez więcej ziem, niż ich było w reszcie Europy, «syn» chciał być władcą niepodległym, za co «jednym palcem» strasznego ojca pozbawion tronu, uciekł do litewskiego rządcy, wzywając go o pomoc. Jego to właśnie zamierzył Witold wprowadzić napowrót na państwo, ale aby to uczynić, trzeba się było wpierw zmierzyć ze światowładnym Kulawcem.

Z tego też powodu imię jego silne na słuchaczach sprawiło wrażenie i po chwili milczenia jeden z najstarszych rycerzy, Wojciech z Jagłowa, rzekł:

— Nie z byle kim sprawa.

— A o byle o co — ozwał się roztropnie Mikołaj z Długolasu. — Bo czy tam za dziesiątą ziemią będzie Tochtamysz, czy jakowyś Kutluk panował synom Beliala, cóż nam z tego przyjdzie?

— Tochtamysz wiarę chrześcijańskąby przyjął — odpowiedział Maćko.

— Przyjąłby, albo nie przyjął. Zali można psubratom wierzyć, którzy Chrystusa nie wyznawają?

— Lecz dla imienia Chrystusowego godzi się poledz — odparł Powała.

— I dla czci rycerskiej — dodał Toporczyk, krewny kasztelana. — Są przecie między nami tacy, którzy pójdą. Pan Spytko z Melsztyna młodą ma żonę i umiłowaną, a dlatego już do kniazia Witolda pociągnął.

— Bo i nie dziwno — wtrącił Jaśko z Naszan — choćbyś miał najbezecniejszy grzech na duszy, odpust za taką wojnę pewny i zbawienie pewne.

— A sława po wieki wieków — rzekł znów Powała z Taczewa. — Jak wojna, to wojna, a że nie byle z kim, to lepiej. Tymur świat zawojował i ma dwadzieścia siedm królestw pod sobą. Tożby była chwała dla naszego narodu, żebyśmy go starli.

— Dlaczegoby nie? — odrzekł Toporczyk — choćby i sto królestw posiadał, niech się go inni boją, nie my! Godnie mówicie! Skrzyknąłby jeno z dziesięć tysięcy kopijników dobrych, to i świat przejdziem.

— A któryż naród ma Chromego pokonać, jeśli nie nasz?...

Tak rozmawiali rycerze, a Zbyszko aż się zdziwił, że przedtem nigdy nie przyszła mu ochota pociągnąć z Witoldem w dzikie stepy... Ale za czasu pobytu w Wilnie chciało mu się widzieć Kraków, dwór, wziąć udział w gonitwach rycerskich, a teraz pomyślał, że tu znaleźć może niesławę i sąd, tam zaś w najgorszym razie znalazłby śmierć pełną chwały...

Lecz stuletni Wojciech z Jagłowa, któremu ze starości trzęsła się szyja, ale który rozum miał odpowiedni wiekowi, oblał zimną wodą ochotę rycerzy:

— Głupiście — rzekł. — Zali to żaden z was nie słyszał, że wizerunek Chrystusów przemówił do Królowej, a jeżeli sam Zbawiciel do takiej dopuszcza ją poufałości, czemuby Duch święty, który jest trzecią Trójcy osobą, miał na nią być mniej miłościw. Przez to ona przyszłe rzeczy widzi, jakoby się przed nią działy, i mówiła tak...

Tu zatrzymał się i przez chwilę trząsł głową, a następnie rzekł:

— Zapomniałem, co powiedziała, ale zaraz sobie przypomnę.

I począł się namyślać, oni zaś czekali w sku-

pieniu, albowiem powszechne było mniemanie, że królowa widzi przyszłe zdarzenia.

— Aha! — rzekł wreszcie — jużem się obaczył! Królowa powiedziała, że gdyby wszystko rycerstwo tutejsze poszło z kniaziem Witoldem na Chromego, tedy byłaby moc pogańska skruszona. Ale to nie może być, dla niepoczciwości panów chrześcijańskich. Trzeba granic pilnować i od Czechów i od Węgrzynów i od Zakonu, bo nikomu ufać nie można. Gdy zaś garść jeno Polaków z Witoldem pójdzie, pokona go Tymur Kulawy, albo jego wojewodowie, którzy ćmom nieprzeliczonym przywodzą...

— Przecie teraz jest spokój — ozwał się Toporczyk — i sam Zakon daje podobno jakowąś pomoc Witoldowi. Nie mogą nawet Krzyżacy inaczej uczynić, choćby dla wstydu, żeby Ojcu świętemu pokazać iże z pogany walczyć gotowi. Prawią też dworscy, że Kuno Lichtenstein nietylko dla krzcin, ale i dla narad z królem tu bawi...

— A oto i on — zawołał ze zdziwieniem Maćko.

— Prawda! — rzekł, oglądając się Powała. — Dalibóg on! Krótko bawił u opata i musiał chyba do dnia z Tyńca wyjechać.

— Jakoś mu było pilno — odrzekł posępnie Maćko.

Tymczasem Kuno Lichtenstein przeszedł koło nich. Maćko poznał go po krzyżu, wyszytym na płaszczu, ale on nie poznał ni jego, ni Zbyszka, gdyż widział ich poprzednio w hełmach, z hełmu zaś, nawet przy otwartej przyłbicy, widać było tylko małą część twarzy rycerza. Przechodząc, skinął głową Powale z Taczewa i Toporczykowi, poczem wraz ze swymi giermkami począł wstępować po schodach do katedry, krokiem poważnym i pełnym majestatu.

Wtem ozwały się dzwony, płosząc stado kawek i gołębi, gnieżdżących się po wieżach, a zarazem oznajmiając, iż msza niebawem się rozpocznie. Maćko i Zbyszko weszli razem z innymi do kościoła, nieco zaniepokojeni szybkim powrotem Lichtensteina. Lecz starszy rycerz niepokoił się więcej, albowiem uwagę młodszego pochłonął całkowicie dwór królewski. Zbyszko nigdy w życiu nie widział nic równie świetnego, jak ten kościół i to zebranie. Na prawo i na lewo otaczali go najznakomitsi mężowie królestwa, słynni w radzie lub boju. Wielu, których rozum przeprowadził małżeństwo w. księcia Litwy z cudną i młodziuchną królową polską, już pomarło, ale niektórzy żyli jeszcze i na tych spoglądano ze czcią nadzwyczajną. Nie mógł się napatrzyć młody rycerz wspaniałej postaci Jaśka z Tęczyna, kasztelana krakowskiego,

w której łączyła się surowość z powagą i prawością; podziwiał mądre i stateczne twarze innych rajców, lub potężne oblicza rycerskie, z włosami równo przyciętymi nad brwią, a spływającymi w długich kędziorach z boków głowy i z tyłu. Niektórzy nosili siatki na głowach, niektórzy tylko przepaski, utrzymując w ładzie włosy. Goście zagraniczni, posłowie króla rzymskiego, czescy, węgierscy i rakuscy, oraz ich przyboczni dziwili największą wykwintnością ubiorów; kniazie i bojarzynowie litewscy, przy boku króla zostający, pomimo lata i gorących dni, mieli na sobie dla okazałości szuby, podbite futrem kosztownem; kniazie ruscy, w szatach sztywnych a szerokich, wyglądali na tle ścian i złoceń kościelnych, jak obrazy bizantyńskie. Lecz z największą ciekawością oczekiwał Zbyszko wejścia króla i królowej i tłoczył się, ile mógł, ku stallom, za któremi w pobliżu ołtarza widać było dwie poduszki z czerwonego aksamitu, królestwo bowiem słuchali mszy zawsze na klęczkach. Jakoż nie czekano długo: król wszedł pierwszy drzwiami od zakrystyi i zanim doszedł przed ołtarz, można mu się było dobrze przypatrzyć. Włosy miał czarne, zwichrzone i rzedniejące nieco nad czołem, długie, po bokach założone za uszy, twarz smagłą, całkiem ogoloną, nos garbaty i dość śpiczasty, koło ust

zmarszczki, oczki czarne, małe, świecące, któremi rzucał na wszystkie strony, jakby chciał, zanim dojdzie przed ołtarz, porachować wszystkich ludzi w kościele. Oblicze jego miało wyraz dobrotliwy, ale zarazem i czujny, człowieka, który wyniesion przez fortunę nad własne spodziewanie, musi myśleć ustawicznie o tem, czy jego postępki odpowiadają godności, i który obawia się złośliwych przygan. Ale właśnie dlatego była w jego twarzy i ruchach jakby pewna niecierpliwość. Łatwo było odgadnąć, że gniew jego musi być nagły, straszny i że jest to zawsze ten sam książę, który swego czasu, zniecierpliwiony matactwami Krzyżaków, wołał do ich wysłanników: «Ty do mnie z pergaminem, a ja do ciebie z dzidą!»

Lecz już teraz tę przyrodzoną zapalczywość hamowała wielka i szczera pobożność. Nietylko świeżo nawróceni kniazie litewscy, ale i pobożni z dziada pradziada wielmoże polscy budowali się widokiem króla w kościele. Często on, odrzuciwszy poduszkę, klękał dla większego umartwienia na gołych kamieniach; często, wzniósłszy ręce do góry, trzymał je wzniesione dopóty, dopóki mu same nie opadły ze zmęczenia. Słuchał najmniej trzech mszy dziennie i słuchał ich niemal z chciwością. Okrycie kielicha i odgłos dzwonka na Podniesienie napełniały zawsze

duszę jego uniesieniem, zachwytem, rozkoszą i przestrachem. Po ukończonej mszy wychodził z kościoła jakby zbudzony ze snu, uspokojony, łagodny, i dworzanie wcześnie zwiedzieli się, że wówczas najlepiej jest go prosić czy o przebaczenie, czy o dary.

Jadwiga weszła przez drzwi od zakrystyi. Ujrzawszy ją, rycerze bliżsi stallów, jakkolwiek msza się jeszcze nie zaczęła, poklękali natychmiast, mimowoli oddając jej cześć, jak świętej. Zbyszko uczynił to samo, albowiem w całem tem zgromadzeniu nikt nie wątpił, że ma naprawdę przed sobą świętą, której obrazy będą zdobiły z czasem ołtarze kościelne. Szczególniej od kilku lat surowe, pokutnicze życie Jadwigi sprawiło, że obok czci winnej królowej, oddawano jej cześć niemal religijną. Z ust do ust między panami i ludem chodziły głosy o cudach, spełnianych przez królowę. Mówiono, iż dotknięcie jej dłoni leczyło chorych: ludzie pozbawieni władzy w rękach i nogach, odzyskiwali ją po włożeniu starych szat królowej. Wiarogodni świadkowie zapewniali, iż słyszeli na własne uszy, jak raz Chrystus przemówił do niej z ołtarza. Czcili ją na klęczkach monarchowie zagraniczni, czcił i obawiał się ją obrazić nawet hardy Zakon krzyżacki. Papież Bonifacy IX. nazywał ją świątobliwą i wybraną córką Ko-

ścioła. Swiat patrzał na jej postępki i pamiętał, że to dziecię domu Andegaweńskiego i polskich Piastów, że ta córka potężnego Ludwika, wychowanka najświetniejszego dworu, a wreszcie najpiękniejsza z dziewic na ziemi, zrzekła się szczęścia, zrzekła się pierwszej dziewiczej miłości i poślubiła, jako królowa, «dzikiego» księcia Litwy, aby wraz z nim skłonić do stóp Krzyża ostatni pogański naród w Europie. Czego nie dokazały siły wszystkich Niemców, potęga Zakonu, wyprawy krzyżowe, morze przelanej krwi — tego dokazało jedno jej słowo. Nigdy chwała apostolstwa nie opromieniła młodszego i cudniejszego czoła — nigdy apostolstwo nie połączyło się z takiem poświęceniem — nigdy niewieścia piękność nie zaświeciła taką anielską dobrocią i takim cichym smutkiem.

Opiewali ją też minstrele na wszystkich dworach Europy; zjeżdżali się do Krakowa rycerze z najodleglejszych ziem, by widzieć tę «polską królowę», kochał ją, jak źrenicę oka, jej własny naród, któremu przez związek z Jagiellą przymnożyła potęgi i sławy. Jedna tylko wielka troska zaciążyła nad nią i nad narodem — oto tej wybrance swojej Bóg odmawiał przez długie lata potomstwa.

Lecz gdy nareszcie i ta niedola minęła, radosna wieść o uproszonem błogosławieństwie roz-

biegła się, jak błyskawica, od Bałtyku po morze Czarne, po Karpaty i napełniła weselem wszystkie ludy olbrzymiego państwa. Z wyjątkiem stolicy krzyżackiej, przyjęto ją radośnie nawet po dworach zagranicznych. W Rzymie śpiewano «Te Deum». W ziemiach polskich utrwaliło się ostatecznie mniemanie, że o co «święta pani» Boga poprosi, to stanie się nieodmiennie.

Przychodzili więc do niej ludzie błagać, by uprosiła im zdrowie, przychodzili wysłańcy od ziem i powiatów, by w miarę potrzeby modliła się to o deszcz, to o pogodę na żniwa, to o szczęśliwą kośbę, to o pomyślne miodobranie, to o obfitość ryby w jeziorach, to o zwierza w lasach. Groźni rycerze z nadgranicznych zamków i gródków, którzy, przyjętym od Niemców zwyczajem, trudnili się zbójnictwem lub wojną między sobą, na jedno jej napomnienie wkładali miecze do pochew, puszczali jeńców bez okupu, zwracali zagarnięte stada i podawali sobie dłonie do zgody. Wszelka niedola, wszelkie ubóstwo cisnęło się do bram krakowskiego zamku. Czysty duch jej przenikał w serca ludzkie, łagodził los niewolników, dumę panów, surowość sędziów — i unosił się, jak świt szczęścia, jak anioł sprawiedliwości i spokoju, nad całą krainą.

Wszyscy też z bijącemi sercami oczekiwali dnia błogosławieństwa.

Rycerze pilnie spoglądali na postać królowej, aby z jej kształtów wywnioskować, jak długo przyjdzie im czekać na przyszłego dziedzica lub przyszłą dziedziczkę tronu. Ksiądz biskup krakowski Wysz, który był zarazem najbieglejszym w kraju, a słynnym i za granicą lekarzem, nie zapowiadał jeszcze rychłego połogu, jeśli zaś czyniono przygotowania, to dlatego, że zwyczajem wieku było rozpoczynać wszelkie uroczystości jak najwcześniej, a przeciągać je przez całe tygodnie. Jakoż postać pani, lubo podana nieco naprzód, zachowała dotychczas dawną wysmukłość. Odzież nosiła aż nazbyt prostą. Niegdyś, wychowana na świetnym dworze i piękniejsza od wszystkich współczesnych księżniczek, kochała się w kosztownych tkaninach, w łańcuchach, perłach, w złotych manelach i pierścieniach, — obecnie, a nawet od lat już kilku, nietylko nosiła szaty mniszki, ale przysłaniała nawet i twarz, z obawy, by myśl o własnej piękności nie wzbudziła w niej pychy światowej. Próżno Jagiełło, dowiedziawszy się o odmiennym jej stanie, polecił w uniesieniu radości, by łożnicę przyozdobiła złotogłowiem, bisiorem i klejnotami. Odpowiedziała, że, wyrzekłszy się zdawna okazałości, pamięta, że pora złogów bywa częstokroć porą śmierci, a więc nie wśród

klejnotów, ale w cichej pokorze powinna przyjąć łaskę, którą ją Bóg nawiedza.

Złoto i klejnoty szły tymczasem na akademię lub na wysyłanie nowoochrzczonej młodzieży litewskiej do zagranicznych uniwersytetów.

Królowa zgodziła się tylko w tem zmienić zakonny pozór, iż od czasu, jak nadzieja macierzyństwa stała się zupełną pewnością, nie przysłaniała już twarzy, słusznie mniemając, że nie przystoi jej od tej chwili strój pokutnicy...

Jakoż wszystkie oczy spoczęły teraz z miłością na tem cudnem obliczu, któremu ni złoto, ni drogie kamienie nie mogły przydać ozdoby. Królowa szła zwolna od drzwi zakrystyi ku ołtarzowi, mając oczy wzniesione do góry, w jednej ręce książkę, w drugiej różaniec. Zbyszko ujrzał liliową twarz, niebieskie źrenice, rysy poprostu anielskie, pełne spokoju, dobroci, miłosierdzia — i serce poczęło mu bić, jak młotem. Wiedział on, że z rozkazania Bożego powinien kochać i swego króla, i swoją królową, i miłował ich po swojemu, ale teraz serce zawrzało mu nagle miłością wielką, która powstaje nie z nakazu, ale bucha sama przez się, jak płomień, a jest zarazem i czcią największą, i pokorą, i chęcią ofiary. Młody był i porywczy rycerz Zbyszko, więc chwyciła go zaraz chęć, by tę miłość i wierność poddanego-rycerza jakoś okazać, coś dla

niej uczynić, gdzieś lecieć, kogoś popłatać, coś zdobyć i samemu przytem karkiem nałożyć. — «Pójdę chyba z kniaziem Witoldem, — mówił sobie, — bo jakże świętej pani usłużę, skoro niemasz nigdzie blizko wojny?» Nie przyszło mu nawet do głowy, by można inaczej usłużyć, niż mieczem, rohatyną lub toporem, ale za to gotów był sam jeden na całą potęgę Tymura Chromego uderzyć. Chciało mu się zaraz po mszy siąść na koń i coś zacząć. Co? sam nie wiedział. Wiedział tylko, że nie wytrzyma, że go palą ręce i pali się w nim dusza cała...

Zapomniał też znów całkiem o niebezpieczeństwie, które mu groziło. Zapomniał nawet chwilowo Danusi, a gdy przyszła mu ona na myśl z powodu dziecinnych śpiewów, które nagle ozwały się w kościele, miał poczucie, «że to co innego». Danusi przyrzekł wierność, przyrzekł trzech Niemców i tego dotrzyma, ale przecie królowa jest ponad wszystkie niewiasty — i gdy pomyślał, iluby dla królowej chciał zabić, ujrzał przed sobą całe zastępy pancerzy, hełmów, piór strusich, pawich — i czuł, że wedle chęci jeszczeby tego było za mało...

Tymczasem nie spuszczał z niej oka, rozmyślając w wezbranem sercu, jakąby ją uczcić modlitwą, sądził bowiem, że za królową byle jak modlić się nie można. Umiał powiedzieć: «Pater

noster, qui es in coelis, sanctificetur nomen Tuum» — tego bowiem wyuczył go pewien Franciszkanin w Wilnie, ale być może, że zakonnik sam więcej nie umiał, być może Zbyszko reszty zapomniał, dość, że całego «Ojcze nasz» wyrecytować nie mógł. Teraz jednak począł powtarzać w kółko tych kilka słów, które w jego duszy znaczyły: «Daj naszej umiłowanej pani zdrowie i życie i szczęście — i więcej o nią dbaj, niż o wszystko inne». Że zaś to mówił człowiek, nad którego własną głową wisiał sąd i kara, przeto w całym kościele nie było szczerszej modlitwy...

Po skończonej mszy myślał Zbyszko, że gdyby mu wolno było stanąć przed królową, upaść przed nią na twarz i objąć jej stopy, to niechby potem nawet koniec świata nastąpił, ale po pierwszej mszy wyszła druga, potem trzecia, a następnie pani odeszła do swoich komnat, zwykle bowiem suszyła aż do południa i umyślnie nie brała udziału w wesołych śniadaniach, przy których dla uciechy króla i gości występowali trefnisie i kuglarze. Natomiast przed Zbyszkiem pojawił się stary rycerz z Długolasu i wezwał go do księżny.

— Będziesz posługiwał przy śniadaniu mnie i Danusi, jako mój dworzanin — rzekła księżna — a nuż zdarzy ci się przypodobać się królowi

jakowemś krotochwilnem słowem albo postępkiem, którym serce jego sobie zjednasz. Krzyżak, jeśli cię pozna, nie będzie może się skarżył, widząc, że przy stole królewskim mnie posługujesz.

Zbyszko ucałował rękę księżny, poczem zwrócił się do Danusi i, jakkolwiek przywykły więcej do wojny i bitek, niż do dworskich obyczajów, wiedział jednak widocznie, co rycerzowi czynić przystoi, gdy rankiem zobaczy damę swych myśli, gdyż cofnął się i przybrawszy wyraz zdumienia, zawołał, żegnając się:

— W imię Ojca i Syna i Ducha!...

A Danusia spytała, podnosząc na niego modre oczki:

— Czego się Zbyszko żegna, kiedy już po mszy?

— Bo przez tę noc tyle ci, piękna panno, gładkości przybyło, aże mi cudnie!

Lecz Mikołaj z Długolasu nie lubił, jako człowiek stary, nowotnych, zagranicznych zwyczajów rycerskich, więc wzruszył ramionami i rzekł:

— Co tam będziesz po próżnicy czas tracił i o urodzie jej prawił! Skrzat to, któren ledwie od ziemi odrósł...

Na to Zbyszko spojrzał zaraz na niego zawzięcie:

— Warujcie się nazywać ją skrzatem, —

rzekł, blednąc z gniewu — i to wiedzcie, że gdyby wam było mniej roków, zarazbym kazał ziemię za zamkiem udeptać i niechby przyszła wasza, albo moja śmierć!...

— Cichaj, chłystku!... dałbym ci rady jeszcze dziś!

— Cichaj! — powtórzyła księżna. — To zamiast o własnej głowie myśleć, będzie tu jeszcze zwady szukał! Wejbym była stateczniejszego dla Danusi poszukała rycerza. Ale to ci powiadam, że jeśli chcesz burzyć, chybaj sobie, gdzie chcesz, bo tu takich nie trzeba...

Zbyszko zawstydził się słowami księżnej i począł ją przepraszać. Pomyślał przytem, że jeśli pan Mikołaj z Długolasu ma doletniego syna, to tam kiedyś wyzwie go na walkę pieszą lub konną, byle za skrzata nie darować. Tymczasem jednak postanowił zachować się na pokojach królewskich jak trusia i nie wyzywać nikogo, chybaby tego koniecznie rycerska cześć wymagała...

Odgłos trąb oznajmił, że śniadanie gotowe, więc księżna Anna, wziąwszy za rękę Danusię, udała się do komnat królewskich, przed któremi stali, czekając na jej przyjście świeccy dygnitarze i rycerze. Księżna Ziemowitowa weszła już była pierwej, gdyż jako rodzona siostra królewska, wyższe brała miejsce za stołem. Wnet

zaroiło się w komnacie od gości zagranicznych i zaproszonych miejscowych dygnitarzy i rycerzy. Król siedział u wyższego końca stołu, mając przy sobie biskupa krakowskiego i Wojciecha Jastrzębca, który, chociaż niższy godnością od infułatów, siedział, jako poseł papieski, po prawicy króla. Dwie księżne zajęły miejsca następne. Za Anną Danutą rozparł się wygodnie na szerokiem krześle były arcybiskup gnieźnieński Jan, książę pochodzący z Piastów śląskich, syn Bolka III., księcia opolskiego. Zbyszko słyszał o nim na dworze Witoldowym i teraz, stojąc za księżną i Danusią, poznał go natychmiast po niezmiernie obfitych włosach, które pozwijane w stręki, czyniły głowę jego podobną do kościelnego kropidła. Na dworach książąt polskich przezywano go też Kropidłem, a nawet Krzyżacy dawali mu imię «Grapidla». — Był to człowiek słynny z wesołości i lekkich obyczajów. Otrzymawszy wbrew woli króla paliusz na arcybiskupstwo gnieźnieńskie, chciał je zająć zbrojną ręką, za co wyzuty z godności i wypędzon, związał się z Krzyżakami, którzy mu dali na Pomorzu ubogie biskupstwo kamieńskie. Wówczas dopiero zrozumiawszy, że z potężnym królem lepiej jest być w zgodzie, przebłagał go, wrócił do kraju i czekał na opróżnienie której ze stolic, spodziewając się, że ją z rąk dobrotli-

wego pana otrzyma. Jakoż nie zawiódł się w przyszłości, a tymczasem starał się krotofilami zaskarbić sobie serce królewskie. Został mu jednak zawsze dawny pociąg do Krzyżaków. Nawet i teraz na dworze Jagiellowym, — niezbyt mile widziany przez dygnitarzy i rycerstwo, — szukał towarzystwa Lichtensteina i rad sadowił się obok niego przy stole.

Tak było i obecnie. Zbyszko, stojąc za krzesłem księżny, znalazł się tak blizko Krzyżaka, że mógłby go był ręką dosięgnąć. Jakoż palce poczęły go zaraz swędzić i kurczyć się, lecz to było mimowoli, gdyż pohamował swą popędliwość zupełnie i nie pozwolił sobie na żadną myśl. Nie mógł się jednak powstrzymać od rzucania od czasu do czasu nieco łakomych spojrzeń na łysiejącą nieco z tyłu płową głowę Lichtensteina, na szyję, plecy i ramiona, pragnąc zarazem wymiarkować, czyli też wiele miałby z nim do roboty, gdyby się im spotkać przyszło bądź w bitwie, bądź w pojedynczej walce. Wydało mu się, iż niezbyt wiele, bo choć łopatki Krzyżaka rysowały się dość potężnie pod obcisłą z szarego, cienkiego sukna szatą, był on jednak chuchrakiem w porównaniu do takiego Powały, do Paszka Złodzieja z Biskupic, do obu przesławnych Sulimczyków, do Krzona z Kozichgłów

i do wielu innych rycerzy, siedzących przy stole królewskim.

Na nich to z podziwem i zazdrością spoglądał Zbyszko, lecz główną uwagę jego zwrócił sam król, który, rzucając spojrzenia na wszystkie strony, zagarniał co chwila palcami włosy za uszy, jakby zniecierpliwiony tem, że śniadanie się jeszcze nie rozpoczęło. Wzrok jego zatrzymał się przez mgnienie oka i na Zbyszku, a wówczas młody rycerz doznał pewnego uczucia strachu i na myśl, że pewno przyjdzie mu stanąć przed gniewnem obliczem królewskiem, opanował go okrutny niepokój. Pierwszy to raz pomyślał naprawdę o odpowiedzialności i karze, jaka nań spaść mogła, dotychczas bowiem wydawało mu się to wszystko dalekie, niewyraźne, zatem nie warte troski.

Ale Niemiec ani się domyślał, że ów rycerz, który natarł na niego zuchwale na gościńcu, znajduje się tak blizko. Rozpoczęło się śniadanie. Wniesiono polewkę winną, zaprawną jajami, cynamonem, gwoździkami, imbirem i szafranem tak silnie, że zapach rozszedł się po całej izbie. Jednocześnie trefniś Ciaruszek, siedzący we drzwiach na zydlu, począł udawać śpiew słowika, co widocznie weseliło króla. Po nim drugi obchodził stół wraz ze służbą, obnoszącą potrawy, stawał nieznacznie za gośćmi i naśladował blizkie brzę-

czenie pszczoły tak dokładnie, że jaki taki kładł łyżkę i poczynał oganiać czuprynę. Na ten widok inni wybuchali śmiechem. Zbyszko pilnie usługiwał księżnie i Danusi, lecz gdy z kolei i Lichtenstein począł się klepać w łysiejącą głowę, zapomniał znów o niebezpieczeństwie i począł śmiać się aż do łez, a stojący blizko niego młody kniaź litewski Jamont, syn namiestnika smoleńskiego, pomagał mu w tem tak szczerze, że aż ronił potrawy z półmisków.

Lecz Krzyżak, spostrzegłszy wreszcie pomyłkę, sięgnął do kalety, a jednocześnie, zwróciwszy się do biskupa Kropidły, przemówił do niego kilka słów po niemiecku, które biskup zaraz po polsku powtórzył:

— Szlachetny pan mówi ci tak: — rzekł, zwracając się do błazna — dostaniesz dwa skojce, ale nie brzęcz za blizko, gdyż pszczoły się odpędza, a trutniów się bije...

Na to trefniś pochował dwa skojce, które mu podał Krzyżak i, korzystając z przysługującej błaznom na wszystkich dworach wolności, odrzekł:

— Dużo miodu w ziemi Dobrzyńskiej [1]), dla-

[1]) Ziemia Dobrzyńska zagarnięta została przez Krzyżaków na mocy bezprawnego układu z Władysławem Opolczykiem.

tego ją trutnie obsiadły. Bij-że ich, królu Władysławie!

— Naści i ode mnie grosz, boś dobrze powiedział, — rzekł Kropidło — jeno pamiętaj, że gdy leziwo się urwie, to bartnik kark skręci. Mają żądła te malborskie trutnie, które Dobrzyń obsiadły, i niebezpiecznie leźć na ich barć.

— O wa! — zawołał Zyndram z Maszkowic, miecznik krakowski: — można ich wykurzyć!

— Czem?

— Prochem.

— Albo toporem barć ściąć! — rzekł olbrzymi Paszko Złodziej z Biskupic.

Zbyszkowi rosło serce, sądził bowiem, że takie słowa zapowiadają wojnę. Ale rozumiał je i Kuno Lichtenstein, który, przebywając długo w Toruniu i Chełmnie, wyuczył się polskiej mowy i nie używał jej tylko przez pychę. Teraz jednak, podrażnion słowami Zyndrama z Maszkowic, utopił w nim swoje szare źrenice i odrzekł:

— Zobaczymy.

— Widzieli ojce nasi pod Płowcami, a i my widzielim pod Wilnem — odpowiedział Zyndram.

— *Pax vobiscum!* — zawołał Kropidło. — *Pax, Pax!* Jeno ksiądz Mikołaj z Kurowa ustąpi z biskupstwa kujawskiego, a król miłościwy mnie

po nim naznaczy, powiem wam tak piękne kazanie o miłości między chrześcijańskimi narodami, iż was do cna skruszę. Cóż to jest bowiem nienawiść, jeśli nie *ignis*, a do tego *ignis infernalis*... ogień tak okrutny, że woda mu nie poradzi i chyba winem trzeba go zalewać. Wina dawajcie! Pojedziemy na ops! jak mawiał nieboszczyk biskup Zawisza z Kurozwęk!

— A z opsu do piekła, jak mówił dyabeł!— dodał trefniś Ciaruszek.

— Niechże cię porwie!

— Cudnie będzie, jeśli was porwie. Nie widziano jeszcze dyabła z Kropidłem, ale tak myślę, że wszyscy będziemy mieli tę uciechę...

— Wpierw ciebie jeszcze pokropię. Wina dajcie i niech żywie miłość między chrześcijany!

— Między prawdziwymi chrześcijany! — powtórzył z naciskiem Kuno Lichtenstein.

— Jakże? — zawołał, podnosząc głowę, biskup krakowski Wysz — zali to nie w odwiecznie chrześcijańskiem królestwie przebywacie? zali nie starsze tu kościoły, niż w Malborgu?

— Nie wiem — odpowiedział Krzyżak.

Król szczególniej drażliwy był, gdy szło o chrześcijaństwo. Zdawało mu się, że Krzyżak może jemu właśnie chce przymówić, więc wystające policzki pokryły mu się zaraz czerwonemi piętnami, oczy poczęły błyskać.

— Co to?! — ozwał się grubym głosem. — Nie chrześcijański ja król? co?

— Królestwo powiada się chrześcijańskiem, — odparł zimno Krzyżak — ale obyczaje są w niem pogańskie...

Na to podnieśli się groźni rycerze: Marcin z Wrocimowic, herbu Półkoza, Floryan z Korytnicy, Bartosz z Wodzinka, Domarat z Kobylan, Powała z Taczewa, Paszko Złodziej z Biskupic, Zyndram z Maszkowic, Jaxa z Targowiska, Krzon z Kozichgłów, Zygmunt z Bobowy i Staszko z Charbimowic, potężni, sławni, zwycięzcy w wielu bitwach, w wielu turniejach, i to płonąc z gniewu, to blednąc, to zgrzytając zębami, poczęli wołać jeden przez drugiego:

— Gorze nam! bo gościem jest i nie może być wyzwan!

A Zawisza Czarny, Sulimczyk, najsłynniejszy między słynnymi, «wzór rycerzy«, zwrócił zmarszczone czoło do Lichtensteina i rzekł:

— Nie poznaję cię, Kunonie. Jakże możesz, rycerzem będąc, hańbić wspaniały naród, gdy wiesz, że jako posłowi, żadna ci za to kara nie grozi?

Lecz Kuno wytrzymał spokojnie groźne spojrzenia i odrzekł zwolna, dobitnie:

— Nasz Zakon, zanim do Prus przybył, wojował w Palestynie, ale tam nawet i Saraceni

posłów szanowali. Wy jedni ich nie szanujecie i dlatego obyczaj wasz nazwał pogańskim.

Na to gwar uczynił się jeszcze większy. Naokół stołu ozwały się znów okrzyki: «Gorze! gorze!»

Ale uciszyły się, gdy król, na którego obliczu wrzał gniew, klasnął obyczajem litewskim kilkakroć w dłonie. Wówczas wstał stary Jaśko Topór z Tęczyna, kasztelan krakowski, sędziwy, poważny, postrach dostojnością urzędu budzący, i rzekł:

— Szlachetny rycerzu z Lichtensteinu, jeśli was jakowaś obelga, jako posła spotkała, mówcie, a srogiej sprawiedliwości wartko stanie się zadość.

— Nie przygodziło mi się to w żadnem innem chrześcijańskiem państwie — odrzekł Kuno. — Wczoraj na drodze do Tyńca napadł mnie jeden wasz rycerz i choć z krzyża na płaszczu łacnie mógł poznać, ktom jest, na życie moje godził.

Zbyszko, usłyszawszy te słowa, pobladł mocno i mimowoli spojrzał na króla, którego twarz była wprost straszna. Jaśko z Tęczyna zdumiał się i rzekł:

— Możeż to być?

— Zapytajcie pana z Taczewa, któren był świadkiem przygody.

Wszystkie oczy zwróciły się na Powałę, który stał przed chwilę mroczny, ze spuszczonemi powiekami, poczem rzekł:

— Tak jest!...

Usłyszawszy to, rycerze poczęli wołać: «Hańba! hańba! Bogdaj się ziemia pod takim zapadła!» I ze wstydu jedni uderzali się pięściami w uda i piersi, drudzy skręcali w palcach cynowe misy na stole, nie wiedząc, gdzie oczy podziać.

— Czemuś ty go nie ubił? — zagrzmiał król.

— Bo głowa jego do sądu należy — odparł Powała.

— Uwięziliście go? — spytał kasztelan Topór z Tęczyna.

— Nie, bo na cześć rycerską poprzysiągł, że się stawi.

— I nie stawi się! — zawołał szyderczo Kuno, podnosząc głowę.

Wtem jakiś młody, smutny głos ozwał się niedaleko za plecami Krzyżaka:

— Nie daj Bóg, abych ja hańbę od śmierci wolał. Jam to uczynił: Zbyszko z Bogdańca.

Po tych słowach porwali się rycerze ku nieszczęsnemu Zbyszkowi, lecz powstrzymało ich groźne skinienie króla, który powstawszy z zaiskrzonemi oczyma, począł wołać zdyszanym od

gniewu głosem, podobnym do turkotu, jaki wydaje wóz, toczący się po kamieniach.

— Uciąć mu szyję! Uciąć mu szyję! Niech Krzyżak głowę jego odeśle do Malborga mistrzowi!

Poczem krzyknął na stojącego w pobliżu młodego kniazia litewskiego, syna namiestnika smoleńskiego:

— Trzymaj go, Jamont!

Przerażony gniewem królewskim, Jamont położył drżące dłonie na ramionach Zbyszka, który, zwróciwszy ku niemu wybladłą twarz, rzekł:

— Nie ucieknę...

Lecz białobrody kasztelan krakowski, Topór z Tęczyna, podniósł rękę na znak, że chce mówić — i gdy się uciszyło, rzekł:

— Miłościwy królu! Niechże się ów komtur przekona, że nie twoja zapalczywość, ale nasze prawa karzą śmiercią za porwanie się na osobę posła. Inaczej słusznieby mógł mniemać, że niemasz praw chrześcijańskich w tem królestwie. Sąd nad winowajcą sam odprawię!

Ostatnie słowa wyrzekł głosem podniesionym, i widocznie nie dopuszczając nawet myślą, aby ów głos mógł być niewysłuchanym, skinął na Jamonta:

— Zamknąć go do wieży! Wy zaś, panie z Taczewa, świadczyć będziecie.

— Opowiem całą winę tego wyrostka, której żaden źrzały mąż między nami nigdyby się nie dopuścił, — odpowiedział Powała, spoglądając posępnie na Lichtensteina.

— Slusznie prawi! — powtórzyli zaraz inni — pacholę to jeszcze! za cóż nas wszystkich z jego przyczyny pohańbiono?

Nastała chwila milczenia i niechętnych spojrzeń na Krzyżaka, a tymczasem Jamont wiódł Zbyszka, by oddać go w ręce łuczników, stojących na zamkowym dziedzińcu. Czuł on w młodem sercu litość dla więźnia, którą potęgowała wrodzona mu nienawiść do Niemców. Ale jako Litwin, przywykły ślepo spełniać wolę wielkiego księcia i sam przerażony gniewem królewskim, począł po drodze szeptać do młodego rycerza, sposobem życzliwej namowy:

— Wiesz, co ci rzekę: — powieś się! najlepiej odrazu powieś się. «Korol» rozsierdził się i tak ci głowę utną. Czemubyś go nie miał uweselić? Powieś się, druhu! u nas taki zwyczaj.

Zbyszko, nawpół przytomny ze wstydu i strachu, zdawał się z początku nie rozumieć słów kniazika, ale wreszcie zrozumiał je i aż zatrzymał się ze zdumienia:

— Cóże ty prawisz?

— Powieś się! Po co cię mają sądzić. Króla uweselisz — powtórzył Jamont.

— Powieś-że się sam! — zawołał młody rycerz. — To cię niby ochrzcili, a skóra została na tobie pogańska i tego nawet nie rozumiesz, że grzech chrześcijaninowi taką rzecz czynić.

A kniaź ruszył ramionami:

— Toż nie po dobrej woli. I tak ci głowę utną.

Zbyszkowi przemknęło przez myśl, że za podobne słowa wypadałoby zaraz wyzwać bojarzynka na walkę pieszą lub konną, na miecze albo na topory, ale stłumił w sobie tę chęć, wspomniawszy, że już mu czasu na to nie stanie. Więc spuścił smutnie głowę i w milczeniu pozwolił się oddać w ręce przywódcy pałacowych łuczników.

A w sali tymczasem uwaga powszechna zwróciła się w inną stronę. Danusia, widząc, co się dzieje, przelękła się z początku tak, iż dech zaparło w jej piersi. Twarzyczka jej pobladła, jak płótno, oczki stały się okrągłe z przerażenia — i patrzała na króla bez ruchu, jak woskowa figurka w kościele. Lecz gdy wreszcie usłyszała, że jej Zbyszkowi mają głowę uciąć, gdy go zabrali i wyprowadzili z izby, wówczas chwycił ją żal niezmierny; usta i brwi poczęły jej się trząść; nie pomógł nic, ni strach przed królem,

ni przygryzanie ząbkami ust — i nagle wybuchnęła płaczem tak żałosnym i donośnym, że wszystkie twarze zwróciły się ku niej, a sam król spytał:

— Co to jest?

— Królu miłościwy! — zawołała księżna Anna. — To jest córka Juranda ze Spychowa, której ów nieszczęsny rycerzyk ślubował. Ślubował ci jej trzy pawie czuby z hełmów zedrzeć i ujrzawszy czub taki na hełmie tego komtura, mniemał, że go mu sam Bóg zesłał. Nie ze złości on to uczynił, panie, jeno przez głupstwo, przeto bądź mu miłościw i nie karz go, o co cię na kolanach prosimy.

Tak rzekłszy, wstała i chwyciwszy Danusię za rękę, podbiegła z nią do króla, który widząc to, począł się cofać. Ale one obie uklękły przed nim i Danusia, objąwszy rączynami nogi pańskie, poczęła wołać:

— Daruj Zbyszkowi, królu, daruj Zbyszkowi!

I z uniesienia, a zarazem ze strachu, pochowała swą jasną główkę w fałdy szarej szaty królewskiej, całując mu przytem kolana i dygocąc, jak liść. Księżna Anna Ziemowitowa klękła z drugiej strony i złożywszy ręce, patrzyła błagalnie na króla, w którego twarzy odbiło się wielkie zakłopotanie. Cofał się wprawdzie wraz

z krzesłem, ale nie odpychał przemocą Danusi, machał tylko obu rękoma, jakby odpędzając się od nich.

— Dajcie mi spokój! — wołał — zawinił, całe królestwo pohańbił! niech mu głowę utną!

Lecz małe rączyny zaciskały się coraz silniej wokół jego kolan, a dziecinny głosik wołał coraz żałośniej:

— Daruj Zbyszkowi, królu, daruj Zbyszkowi!

Wtem ozwały się głosy rycerskie:

— Jurand ze Spychowa, rycerz sławny, postrach dla Niemców!

— I ów wyrostek wielce się już pod Wilnem zasłużył — dodał Powała.

Lecz król bronił się dalej, lubo sam widokiem Danusi wzruszony:

— Dajcie mi spokój! Nie mnie zawinił i nie ja mogę mu darować. Niech mu poseł Zakonu daruje, to i ja daruję, a nie, to niech mu głowę utną.

— Daruj mu, Kunonie! — rzekł Zawisza Czarny Sulimczyk — sam mistrz ci tego nie przygani!

— Daruj mu, panie! — zawołały obie księżne.

— Daruj mu, daruj! — powtórzyły głosy rycerskie.

Kuno przymknął powieki i siedział z pod-

niesionem czołem, jakby rozkoszując się tem, że i obie księżne i tak znamienici rycerze zanoszą do niego prośby. Nagle zmienił się w mgnieniu oka: spuścił głowę, skrzyżował ręce na piersiach, z dumnego stał się pokorny i ozwał się przyciszonym, łagodnym głosem:

— Chrystus, Zbawiciel nasz, przebaczył łotrowi na krzyżu i nieprzyjaciołom swoim...

— Prawy to rycerz mówi! — ozwał się biskup Wysz.

— Prawy! Prawy!

— ...Jakżebym ja nie miał przebaczyć, — ciągnął dalej Kuno, — którym jest nie tylko chrześcijaninem, ale i zakonnikiem? Przeto przebaczam mu z duszy serca, jako Chrystusowy sługa i zakonnik!

— Sława mu! — huknął Powała z Taczewa.

— Sława! — powtórzyli inni.

— Ale — rzekł Krzyżak — jestem tu posłem między wami i noszę w sobie majestat całego Zakonu, który jest Chrystusowym Zakonem. Kto więc mnie, jako posła ukrzywdził, ukrzywdził Zakon, a kto obraził Zakon, obraził samego Chrystusa, i takiej krzywdy ja wobec Boga i ludzi darować nie mogę jeśli, zaś prawo wasze ją daruje, niech się dowiedzą o tem wszyscy panowie chrześcijańscy.

Po tych słowach zapadło głuche milczenie.

Po chwili tylko ozwały się gdzieniegdzie zgrzytania zębów, ciężkie oddechy tłumionej wściekłości i łkanie Danusi.

Do wieczora wszystkie serca przechyliły się ku Zbyszkowi. Ci sami rycerze, którzy zrana byliby go gotowi na jedno skinienie króla rozznieść na mieczach, wysilali teraz umysły, jakimby sposobem przyjść mu z pomocą. Księżne postanowiły udać się z prośbą do królowej, by skłoniła Lichtensteina do zupełnego odstąpienia od skargi, lub w razie potrzeby napisania do w. mistrza Zakonu, prosząc, by ten rozkazał Kunonowi zaniechać sprawy. Droga zdawała się pewna, gdyż Jadwigę otaczała cześć tak nadzwyczajna, że wielki mistrz ściągnąłby na siebie gniew papieża i naganę wszystkich chrześcijańskich książąt, gdyby jej takiej rzeczy odmówił. Nie było też to prawdopodobnem i dlatego, że Konrad von Jungingen był człowiekiem spokojnym i wiele od swoich poprzedników łagodniejszym. Na nieszczęście, biskup krakowski Wysz, który był zarazem głównym lekarzem królowej, zakazał najsurowiej wspominać jej choćby jednem słowem o całej sprawie. «Nigdy ona o śmiertelnych wyrokach rada nie słucha — mówił — i choćby o prostego zbója chodziło, zaraz to do serca bierze, a cóż dopiero, jeśli o szyję młodzianka idzie, któren słusznie jej

miłosierdzia mógłby wyglądać. Ale wszelka turbacya łatwo do ciężkiej niemocy może ją przywieść, zdrowie zaś jej więcej dla całego królestwa znaczy, niżeli dziesięć głów rycerskich». Zapowiedział wreszcie, że gdyby kto ośmielił się wbrew jego słowom turbować panią, na tego on ściągnie straszny gniew królewski, a w dodatku klątwą kościelną go obłoży.

Zlękły się tej zapowiedzi obie księżne i postanowiły milczeć przed królową, a natomiast póty błagać króla, póki jakowejś łaski nie okaże. Cały dwór i wszyscy rycerze stali już po stronie Zbyszka. Powała z Taczewa zapowiadał, iż wyzna szczerą prawdę, ale że złoży świadectwo dla młodzieńca przychylne i całą sprawę przedstawi, jako chłopięcą zapędliwość. Z tem wszystkiem każdy przewidywał, a kasztelan Jaśko z Tęczyna głośno oświadczał, że jeśli Krzyżak się zatnie, to srogiemu prawu musi się stać zadość.

Burzyły się więc tembardziej przeciw Lichtensteinowi rycerskie serca i niejeden myślał lub nawet mówił otwarcie: «Posłem jest i w szranki powołan być nie może, ale gdy do Malborga wróci, nie daj Bóg, aby swoją własną sczezł śmiercią». I nie były to próżne groźby, albowiem rycerzom, którzy nosili pas, nie wolno było jednego słowa na wiatr uronić, kto zaś co

zapowiadał, musiał tego dokazać lub zginąć. Groźny Powała okazał się przytem najzawziętszym, albowiem miał w Taczewie umiłowaną córuchnę w wieku Danusi, skutkiem czego łzy Danusine całkiem skruszyły w nim serce.

Jakoż jeszcze tego samego dnia odwiedził Zbyszka w podziemiu, kazał mu być dobrej myśli i opowiedział o prośbach obu księży i o łzach Danusi... Zbyszko, dowiedziawszy się, iż dziewczyna rzuciła się dla niego do nóg królewskich, rozczulił się tym uczynkiem aż do łez i nie wiedząc, jak swoją wdzięczność i tęsknotę wyrazić, rzekł, obcierając wierzchem dłoni powieki:

— Hej! niech-że ją Bóg błogosławi, a mnie jako najprędzej zezwoli jakową walkę pieszą albo konną za nią stoczyć! Za mało ja jej Niemców obiecał, bo takiej trzeba ich było tylu ślubować, ile ma roków. Byle mnie Pan Jezus z tej obieży wybawił, już ja jej nie poskąpię!...

I podniósł pełne wdzięczności oczy ku górze...

— Naprzód kościołowi jakiemu co obiecuj, — odrzekł pan z Taczewa — bo jeśli się twoja obietnica Bogu spodoba, pewnikiem wnet wolny będziesz. A powtóre słuchaj: poszedł do Lichtensteina twój stryk, a potem pójdę jeszcze i ja.

Nie hańba ci będzie przeprosić go za winę, boś zawinił — i nie żadnego Lichtensteina, ale posła będziesz przepraszał. Gotów-że jesteś?

— Skoro mi taki rycerz, jak wasza miłość, mówi, iż się to godzi — uczynię! ale jeśli będzie chciał, żebym go tak przepraszał, jako żądał na drodze z Tyńca, to niechże mi głowę utną. Stryk ostanie i stryk mu odpłaci, gdy się jego poselstwo skończy...

— Obaczym, co powie Maćkowi — rzekł Powała.

A Maćko rzeczywiście był wieczorem u Niemca, ale ten przyjął go wzgardliwie: światła nawet nie kazał zapalić i w zmroku z nim gadał. Wrócił więc stary rycerz od niego posępny, jak noc, i udał się do króla. Król przyjął go dobrotliwie, bo się już całkiem uspokoił, i gdy Maćko klęknął, kazał mu zaraz wstać, pytając, czegoby żądał.

— Miłościwy panie, — rzekł Maćko. — Była wina, musi być kara, bo inaczej nie byłoby nijakiego prawa na świecie. Jeno jest i moja wina, iżem przyrodzonej zapalczywości tego wyrostka nie tylko nie hamował, alem mu ją jeszcze chwalił. Takem go to hodował, a potem od małości hodowała go wojna. Moja wina, miłościwy królu, bom mu nieraz powiadał: wpierw tnij, a potem obaczysz, kogoś rozciął. I dobrze z tem

było na wojnie, źle zasię przy dworze! Ale to chłop, jak szczere złoto, ostatni z rodu — i żal mi go okrutny...

— Mnie pohańbił, królestwo pohańbił; — rzekł król — mam-li go za to miodem smarować?

A Maćko umilkł, gdyż na wspomnienie o Zbyszku żal ścisnął go nagle za gardło, i dopiero po długiej chwili jął mówić wzruszonym jeszcze i przerywanym głosem:

— Anim ja wiedział, że go tak miłuję — i dopiero teraz się pokazało, jak bieda przyszła. Ale ja stary, a on z rodu ostatni. Nie będzie jego nie będzie nas. Królu miłościwy i panie, ulitujże ty się nad rodem naszym!

Tu klęknął znowu Maćko i wyciągnąwszy przed się spracowane na wojnach ręce, mówił ze łzami:

— Broniliśmy Wilna: łupy Bóg dał godne, komu ja to ostawię? Chce Krzyżak kary, panie, niech będzie kara, ale pozwólcie, abych ja swoją głowę oddał. Co mi tam po żywocie bez Zbyszka! Młody jest, niech ziemię wykupi i potomstwo płodzi, jako Bóg człowiekowi przykazał. Nie zapyta się nawet Krzyżak, czyja głowa spadła, byle spadła. Hańba też z tego nijaka na ród nie spadnie. Ciężko człowiekowi iść

na śmierć, ale, pomiarkowawszy, to lepiej, żeby człek zginął, niż żeby ród miał zginąć...

I tak mówiąc, objął nogi królewskie, król zaś począł mrugać oczyma, co było u niego oznaką wzruszenia, a wreszcie rzekł:

— Nie będzie tego, żeby ja opasanemu rycerzowi głowę kazał niewinnie ucinać! nie będzie, nie będzie!

— I nie byłoby w tem sprawiedliwości, — dodał kasztelan. — Prawo winnego przyciśnie, ale nie smok ci to żaden, który nie patrzy, czyją krew chłepce. A wy uważcie, że właśnie hańbaby na wasz ród spadła, bo jeśliby bratanek wasz przystał na to, co mówicie, tedyby i samego, i jego potomstwo za bezecnych wszyscy mieli...

Na to Maćko:

— Nie przystałby on. Ale gdyby się to bez jego wiadomości stało, toby mnie potem pomścił, jako i ja jego pomszczę.

— Ha! — rzekł Tęczyński — wskórajcie u Krzyżaka, by skargi zaniechał...

— Jużem u niego był.

— I co? — spytał, wyciągając szyję, król — co powiedział?

— Powiedział mi tak: «Trzeba było na tynieckiej drodze o darowanie prosić; nie chcieliście, to teraz i ja nie chcę...»

— A wy czemu nie chcieli?

— Bo przykazał nam z koni zsiąć i na piechotę przepraszać.

Król założył włosy za uszy i chciał coś odpowiedzieć, gdy wtem wszedł dworzanin z oznajmieniem, iż rycerz z Lichtensteinu prosi o posłuchanie.

Usłyszawszy to, Jagiełło spojrzał na Jaśka z Tęczyna, potem na Maćka, lecz kazał im pozostać, może w nadziei, że uda mu się przy tej sposobności załagodzić sprawę swoją powagą królewską.

Tymczasem Krzyżak wszedł, skłonił się królowi i rzekł:

— Miłościwy panie! Oto jest spisana skarga o zniewagę, jaka mnie w królestwie waszem spotkała.

— Skarżcie się jemu — odpowiedział król, ukazując na Jaśka z Tęczyna.

Krzyżak zaś rzekł, patrząc wprost w twarz króla:

— Nie znam waszych praw, ni waszych sądów, wiem jeno, że poseł Zakonu przed samym tylko królem skarżyć się może.

Małe oczki Jagiełły zamigotały z niecierpliwości, wyciągnął jednak rękę, wziął skargę i oddał Tęczyńskiemu.

Ten zaś rozwinął ją i począł czytać, ale

w miarę, jak czytał, twarz stawała mu się coraz więcej frasobliwa i smutna.

— Panie — rzekł wreszcie — tak nastajecie na życie tego młodzianka, jakby on całemu waszemu Zakonowi był straszny. Zali wy, Krzyżacy, już się i dzieci boicie?

— My, Krzyżacy, nie boim się nikogo — odparł dumnie komtur.

A stary kasztelan dodał z cicha:

— A zwłaszcza Boga.

Powała z Taczewa czynił nazajutrz przed sądem kasztelańskim wszystko, co było w jego mocy, aby winę Zbyszka umniejszyć. Lecz próżno uczynek przypisywał dzieciństwu i niedoświadczeniu, próżno mówił, że nawet i ktoś starszy, gdy trzy pawie czuby ślubował i o zeslanie ich się modlił, a potem ujrzał nagle taki czub przed sobą, mógłby także pomyśleć, że jest w tem zrządzenie boskie. Jednej rzeczy nie mógł zacny rycerz zaprzeć, to jest, że gdyby nie on, to kopia Zbyszkowa byłaby uderzyła o pierś Krzyżaka. Kuno zaś kazał przynieść do sądu zbroję, w którą owego dnia był przybrany, i okazało się, że była z cienkiej blachy, używana tylko do uroczystych odwiedzin i tak wiotka, że Zbyszko, zważywszy jego nadzwyczajną siłę, byłby ją niechybnie grotem na wylot przebódł i posła życia pozbawił. Zaczem py-

tano jeszcze Zbyszka, czy myślał Krzyżaka zabić; lecz on nie chciał się tego zapierać. «Wołałem na niego zdaleka, — rzekł, — by kopii nadstawił, bo juści żywy nie dałby sobie ze łba hełmu zedrzeć, ale gdyby i on zdaleka wołał, iże jest posłem, tedybym go był w spokoju ostawił».

Podobały się te słowa rycerzom, którzy przez życzliwość dla młodzianka tłumnie się na sąd zgromadzili, i zaraz podniosły się liczne głosy: «Prawda! czemu nie wołał?» Lecz twarz kasztelana pozostała posępna i surowa. Nakazawszy obcym milczenie, sam także przez chwilę milczał, poczem utkwił w Zbyszka badawcze źrenice i zapytał:

— Możesz-li na Mękę Pańską poprzysiądz, żeś płaszcza i krzyża nie widział?

— Nijak! — odpowiedział Zbyszko — żeby ja krzyża nie widział, to myślałbym, że to nasz rycerz, a w naszego przeciebym nie godził.

— A jakoż mógł się inny Krzyżak pod Krakowem znajdować, jeśli nie posel albo nie z poselskiego pocztu?

Na to nic nie rzekł Zbyszko, bo nie było co rzec. Dla wszystkich było rzeczą aż nazbyt jasną, że gdyby nie pan z Taczewa, to w obecnej chwili leżałby przed sądem nie pancerz posła, ale sam poseł, z przebitą na wieczną

hańbę narodowi polskiemu piersią, więc ci nawet, którzy z całej duszy sprzyjali Zbyszkowi, rozumieli, że wyrok nie może być dla niego łaskawy...

Jakoż po chwili kasztelan rzekł:

— Iżeś w zapalczywości swej nie pomyślał, w kogo bijesz i czynił bez złości, przeto ci Zbawiciel nasz to policzy i daruje, ale ty się nieboże Najświętszej Pannie poleć, gdyż prawo nie może ci tego darować...

Usłyszawszy to, Zbyszko, chociaż spodziewał się podobnych słów, przybladł nieco, ale wnet potem wstrząsnął w tył swe długie włosy, przeżegnał się i rzekł:

— Wola boska! A no trudno!

Następnie zwrócił się do Maćka i ukazał mu oczyma na Lichtensteina, jakby polecając go jego pamięci, a Maćko kiwnął głową na znak, że rozumie i pamięta. Zrozumiał to spojrzenie i ten ruch także i Lichtenstein, i jakkolwiek w piersiach biło mu zarówno mężne, jak zawzięte serce, jednakże dreszcz przebiegł go na chwilę od stóp do głów. Widział Krzyżak, że między nim a owym starym rycerzem, którego twarzy nie mógł nawet dobrze pod hełmem dojrzeć, pójdzie odtąd na śmierć i życie, że gdyby się nawet chciał przed nim skryć, to się nie

skryje i że gdy przestanie być posłem, to się muszą spotkać choćby w Malborgu.

Tymczasem kasztelan udał się do przyległej izby, by podyktować wyrok na Zbyszka biegłemu w piśmie sekretarzowi. Ten i ów z rycerzy zbliżał się podczas owej przerwy do Krzyżaka, mówiąc:

— Bogdaj na sądzie ostatecznym łaskawiej-ć osądzono! Radżeś tej krwi?

Lecz Lichtensteinowi chodziło tylko o Zawiszę, gdyż ten z powodu swych czynów bojowych, znajomości praw rycerskich i niezmiernej surowości w ich przestrzeganiu, znany był po świecie szeroko. W sprawach najbardziej zawikłanych, w których chodziło o honor rycerski, udawano się do niego nieraz bardzo zdaleka i nikt nigdy nie śmiał mu przeczyć, nie tylko dlatego, że pojedyncza walka z nim była niepodobna, ale i dlatego, że uważano go za «zwierciadło czci». Jedno słowo przygany albo pochwały z ust jego szybko rozchodziło się między rycerstwem Polski, Węgier, Czech, Niemiec i mogło stanowić o złej lub dobrej sławie rycerza.

Do niego więc zbliżył się Lichtenstein i jakby chcąc usprawiedliwić się ze swej zawziętości, rzekł:

— Sam tylko Wielki Mistrz wraz z kapitułą mógłby mu łaskę okazać — ja nie mogę...

— Nic waszemu mistrzowi do naszych praw; łaskę może tu okazać nie on, jeno król nasz — odpowiedział Zawisza.

— A ja, jako poseł, musiałem żądać kary.

— Pierwej byłeś rycerzem, niż posłem, Lichtensteinie...

— Zali mniemasz, żem czci uchybił?...

— Znasz nasze księgi rycerskie i wiesz, że dwoje zwierząt kazano naśladować rycerzowi: lwa i baranka. Którego-żeś z nich w tej przygodzie naśladował?

— Nie tyś moim sędzią...

— Pytałeś, czyś czci nie uchybił, tom ci i odkazał, jako myślę.

— Źleś mi odkazał, bo tego nie mogę przełknąć.

— Własną się, nie moją złością udławisz.

— Ale mi Chrystus policzył, żem o majestat Zakonu więcej dbał, niż o twoją chwalbę...

— On też nas wszystkich będzie sądził.

Dalszą rozmowę przerwało wejście kasztelana i sekretarza. Wiedziano już, że wyrok będzie niepomyślny, jednakże uczyniła się głucha cisza. Kasztelan zajął miejsce za stołem i, wziąwszy w rękę krucyfiks, rozkazał Zbyszkowi klęknąć.

Sekretarz zaczął odczytywać po łacinie wyrok. Ani Zbyszko, ani obecni rycerze nie zrozumieli go, jednakże wszyscy domyślili się, że jest to wyrok śmierci. Zbyszko po skończeniu czytania uderzył się kilkakrotnie pięścią w piersi, powtarzając: «Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu».

Poczem wstał i rzucił się w ramiona Maćka, który począł całować w milczeniu jego głowę i oczy.

Wieczorem zaś tego dnia herold ogłaszał przy odgłosie trąb rycerzom, gościom i mieszczaństwu na czterech rogach rynku, iż szlachetny Zbyszko z Bogdańca skazan jest z wyroku kasztelańskiego na ucięcie głowy mieczem...

Lecz Maćko wyprosił, by egzekucya nie nastąpiła rychło, co mu przyszło łatwo, gdyż ludziom ówczesnym, zamiłowanym w drobiazgowem rozporządzeniu mieniem, zostawiano zwykle czas do układów z rodziną, jak również do pojednania się z Bogiem. Nie chciał też nastawać na prędkie wykonanie wyroku i sam Lichtenstein, rozumując, że skoro obrażonemu majestatowi Zakonu stało się zadość, nie należy do reszty zrażać potężnego monarchy, do którego był wysłan nie tylko dla wzięcia udziału w uroczystościach chrzcin, ale i dla układów o ziemię

Dobrzyńską. Najważniejszym jednak względem było zdrowie królowej. Biskup Wysz ani chciał słyszeć o egzekucyi przed połogiem, słusznie mniemając, że takiej sprawy nie można będzie przed panią ukryć, ta zaś, gdy się raz o niej dowie, wpadnie w «turbacyą», mogącą jej ciężko zaszkodzić. W ten sposób pozostawało Zbyszkowi może i kilka miesięcy życia do ostatecznych rozporządzeń i pożegnania się ze znajomymi...

Jakoż Maćko odwiedzał go codziennie i pocieszał, jak umiał. Rozmawiali żałośnie o nieuniknionej śmierci Zbyszkowej, a jeszcze żałośniej o tem, że ród może wyginąć.

— Nie będzie inaczej, jeno musicie babę brać — rzekł raz Zbyszko.

— Wolejbym krewniaka jakiego choć z dalekości odszukał — odpowiedział stroskany Maćko. — Gdzie mnie o babach myśleć, kiedy tobie mają szyję uciąć! A choćby też koniecznie przyszło którą brać, nie uczynię tego, nim Lichtensteinowi zapowiedzi rycerskiej nie poślę i pomsty nie dokonam. Już ty się nie bój!...

— Bóg wam zapłać. Niechże mam choć tę uciechę! Alem to wiedział, że mu nie darujecie. Jako-że uczynicie?

— Jak się posłowanie jego skończy, będzie albo wojna, albo spokój — rozumiesz? Jeśli bę-

dzie wojna, wyślę mu zapowiedź, żeby przed bitwą do pojedynczej walki ze mną stanął.

— Na udeptanej ziemi?

— Na udeptanej ziemi, konno albo pieszo, ale jeno na śmierć, nie na niewolę. Będzie-li zaś spokój, to do Malborga pojadę i kopią w bramę zamkową uderzę, a trębaczowi każę otrąbić, że go na śmierć wyzywam. Już ci się nie pochowa.

— Pewnie, że się nie pochowa i rady mu dacie, jakobym widział.

— Rady?... Zawiszybym nie dał, Paszkowibym nie dał, Powale też; ale, nie chwalący się, takim, jak on, poradzę dwom. Obaczy krzyżacka jego mać! Zali nie tęższy był ów rycerz od Fryzów? A jakem go ciął z góry bez hełm, gdzie mi się topór zatrzymał? Na zębach się zatrzymał. Albo nie?

Odetchnął na to Zbyszko z wielką ulgą i rzekł:

— Lżej będzie ginąć.

I poczęli wzdychać obydwa, poczem stary szlachcic jął mówić wzruszonym głosem:

— Ty się nie frasuj. Nie będą twoje kości szukały jedna drugiej na sądzie ostatecznym. Trumnę ci kazałem sporządzić dębową taką, że i kanonicy od Panny Maryi nie mają lepszych.

Nie zginiesz ty jako ścierciałka [1]). Ba! i tego nawet nie dopuszczę, żebyć mieli ścinać na tem samem suknie, na którem mieszczanów ścinają. Jużem się z Amylejem zgodził, że da całkiem nowe, tak zacne, że starczyłoby i królowi na poszycie kożucha. I mszy ci nie pożałuję — nie bój się!

Uradowało się na to serce Zbyszka, więc pochyliwszy się do ręki stryjca, powtórzył:

— Bóg wam zapłać.

Czasem jednak mimo wszystkich pociech zdejmowała go okrutna tęsknota, więc innym razem, gdy Maćko przyszedł go odwiedzić, ledwie się z nim przywitawszy, zapytał, spoglądając przez kratę w murze:

— A co tam na dworze?

— Pogoda, jak złoto, a słonko przygrzewa, aże całemu światu miło.

Na to Zbyszko założył na kark obie dłonie i przechyliwszy w tył głowę, mówił:

— Hej, mocny Boże! Konia pod sobą mieć i jeździć po polach, po szerokich. Żal ginąć młodemu! Okrutny żal!

— Giną ludzie i z konia! — odparł Maćko.

— Ba! Ale ilu sami przedtem nabiją!...

I począł wypytywać o rycerzy, których na

---

[1]) Skartabellat.

dworze króla widział: o Zawiszę, o Farureja, o Powałę z Taczewa, o Lisa z Targowiska i o wszystkich innych: co robią, czem się zabawiają, na jakich zacnych ćwiczeniach czas im schodzi? I słuchał chciwie opowiadań Maćka, który prawił, jako rano we zbrojach przez konie skaczą, jako powrozy targają, jako się próbują na miecze i na topory z ołowianemi ostrzami, a wkońcu, jak ucztują i jakie pieśni śpiewają. Chciało się Zbyszkowi lecieć do nich z całej duszy i serca, a gdy się dowiedział, że Zawisza zaraz po chrzcinach wybiera się aż hen gdzieś w dół Węgrów, na Turków, nie mógł się wstrzymać od okrzyku:

— Puściliby mnie z nim! niechbym choć przeciw poganom zginął!

Ale nie mogło to być, a tymczasem zdarzyło się coś innego. Oto obie księżne mazowieckie nie przestały myśleć o Zbyszku, który ujął je swoją młodością i urodą. Wreszcie księżna Aleksandra Ziemowitowa umyśliła wysłać list do mistrza. Mistrz nie mógł wprawdzie zmienić wyroku wydanego przez kasztelana, ale mógł wstawić się za młodzieńcem do króla. Jagielle nie wypadało wprawdzie okazywać łaski, gdy szło o zamach na posła, zdawało się jednak rzeczą niewątpliwą, że rad ją okaże na wstawiennictwo samego mistrza. Więc nadzieja nanowo wstąpiła w serce

obu pań. Księżna Aleksandra, mając sama słabość do polerowanych rycerzy zakonnych, była i przez nich nadzwyczaj ceniona. Niejednokrotnie szły dla niej z Malborga bogate dary i listy, w których mistrz nazywał ją czcigodną, świątobliwą dobrodziejką i osobliwszą orędowniczką Zakonu. Słowa jej wiele mogły i było rzeczą wielce prawdopodobną, iż nie doznają odmowy. Chodziło tylko o znalezienie gońca, któryby dołożył wszelkiej gorliwości, aby jak najprędzej list oddać i z odpowiedzią powrócić. Usłyszawszy o tem, stary Maćko podjął się tego bez wahania...

Uproszony kasztelan wyznaczył termin, do którego obiecał powstrzymać wykonanie wyroku. Pełen otuchy, Maćko zakrzątnął się tego samego dnia koło odjazdu, poczem udał się do Zbyszka, aby mu szczęśliwą nowinę zwiastować.

Jakoż w pierwszej chwili Zbyszko wybuchnął tak wielką radością, jakby mu już otworzono drzwi wieży. Następnie jednak zamyślił się, sposępniał nagle i rzekł:

— Kto się tam od Niemców czego dobrego doczeka! Lichtenstein też mógł prosić króla o łaskę — i jeszczeby na tem wygrał, bo pomsty byłby się uchronił, a dlatego nie chciał nic uczynić...

— On się zawziął za to, żeśmy go na tynieckiej drodze nie chcieli przeprosić. O mistrzu

Kondracie nie mówią ludzie źle. Wreszcie stracić na tem — nie stracisz.

— Pewnie, — rzekł Zbyszko — ale mu się tam nizko nie kłaniajcie.

— Co się mam kłaniać? List od księżnej Aleksandry wiozę — i tyla...

— Ha! kiedyście tacy dobrzy, to niech wam tam Bóg dopomoże...

Nagle spojrzał bystro na stryjca i rzekł:

— Ale jeśli mi król daruje, to Lichtenstein będzie mój, nie wasz. Pamiętajcie...

— Jeszcześ szyi niepewny, to żadnych zapowiedzi nie czyń. Dość masz tamtych głupich ślubów — odrzekł z gniewem stary.

Poczem rzucili się sobie w objęcia — i Zbyszko został sam. Nadzieja i niepewność miotały naprzemian jego duszą, ale gdy przyszła noc, a z nią burza na niebie, gdy zakratowane okno poczęło rozświecać się złowrogiem światłem błyskawic, a mury trząść się od grzmotów, gdy wreszcie wicher wpadł ze świstem do wieży i zgasił mdły kaganek przy łożu, pogrążony w ciemności Zbyszko stracił znów wszelką otuchę i całą noc ani na chwilę oczu nie mógł zamrużyć...

— Już ja się śmierci nie wywinę — myślał — i wszystko nic nie pomoże.

Wszelako nazajutrz przyszła do niego w od-

wiedziny zacna księżna Anna Januszowa, a z nią i Danusia ze swoją lutcńką za pasem. Zbyszko padł im kolejno do nóg, poczem, jakkolwiek był w utrapieniu, po bezsennej nocy, w niedoli i niepewności, nie do tyla jednak zapomniał o rycerskiej powinności, aby nie okazać Danusi zdumienia nad jej urodą...

Lecz księżna podniosła na niego oczy pełne smutku i rzekła:

— Nie dziwuj się ty jej, bo jeśli Maćko dobrej odpowiedzi nie przywiezie, albo zgoła nie wróci, będziesz ty się wkrótce nieboże lepszym rzeczom w niebie dziwował.

Poczem jęła ronić łzy, rozmyślając o przyszłym niepewnym losie rycerzyka, a Danusia zawtórowała jej zaraz. Zbyszko pochylił się na nowo do ich nóg, bo i jego serce zmiękło wobec tych płaczów, jak wosk w cieple. Nie kochał on tak Danusi, jak mąż kocha niewiastę, poczuł jednak, że ją kocha z całej duszy i że na jej widok dzieje mu się w piersiach coś takiego, jakby w nich tkwił drugi człowiek, mniej srogi, mniej zapędliwy, mniej wojną dyszący, a natomiast jakby słodkiego kochania spragniony. Chwycił go wreszcie żal ogromny, iż musi ją porzucić i nie będzie mógł dotrzymać tego, co ślubował.

— Już ja ci, niebogo, pawich czubów pod

nogi nie podłożę — mówił. — Ale jeśli przed Boskiem obliczem stanę, tedy tak powiem: «Odpuść mi, Panie, grzechy, ale co jest dobra wszelkiego na ziemi, to daj nie komu innemu, tylko pannie Jurandównie ze Spychowa».

— Niedawnoście się poznali — rzekła księżna. — Nie da Bóg, by to było napróżno.

Zbyszko zaczął wspominać wszystko, co zaszło w gospodzie tynieckiej i rozczulił się zupełnie. Wkońcu jął prosić Danusi, by mu zaśpiewała tę samą pieśń, którą śpiewała wówczas, kiedy ją to chwycił z ławki i przyniósł do księżnej.

Więc Danusia, choć było jej nie do śpiewania, wzniosła zaraz główkę ku sklepieniu i przymknąwszy jako ptaszek oczki, poczęła:

Gdybym ci ja miała
Skrzydełka, jak gąska,
Poleciałabym ja
Za Jaśkiem do Śląska.

Usiadłabym ci ja
Na śląskowskim płocie...
Przypatrz się Jasiulku...

Lecz nagle z pod stulonych rzęsów wypłynęły jej łzy obfite — i nie mogła dłużej śpiewać. A Zbyszko porwał ją na ręce tak samo,

jak niegdyś w tynieckiej gospodzie i począł chodzić z nią po izbie, powtarzając w uniesieniu:

— Nie paniej jeno jabym w tobie szukał. Niechby mnie Bóg wyratował, niechbyś dorosła — i niechby rodzic pozwolili, toby ja cię brał dziewczyno!... Hej!...

Danusia, objąwszy go za szyję, skryła spłakaną twarz na jego ramieniu, a w nim żal wstawał coraz większy, który płynąc z głębi polnej natury słowiańskiej, zmieniał się w tej prostej duszy niemal w pieśń polną:

. . . . . .

Toby ja cię brał, dziewczyno!
Toby ja cię brał!...

KONIEC TOMU CZTERDZIESTEGO DZIEWIĄTEGO.

INDING LIST MAR 15

LP
S5724
Sienkiewicz, Henryk
Pisma.
v.49
486107

DATE.

NAME OF

University of Toronto
Library

DO NOT
REMOVE
THE
CARD
FROM
THIS
POCKET

Acme Library Card Pocket
LOWE-MARTIN CO. LIMITED